

PRACA

Przedpłata w Poznaniu
już z odnośzeniem
tylko 1 markę na kwartał.

Tygodnik dla wszystkich stanów { na pocztach tylko 1 markę
kwartalnie.

poświęcony sprawom handlu, przemysłu i rolnictwa.

„Praca“ zapisana jest na poczcie w oddziale II, t. 86.

Nadesłane

50 fen. od wiersza.

Redakcja i Administracja przy ul. Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.
Pojedynczy numer „Pracy“ nabyć można za 15 fen z franko przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe

20 fen. od wiersza.



ADAM ASNYK.

Straciliśmy wielkiego poetę.

Na progu starości, w latach, w których Rzymianie dochodzili zaledwie do granicy wieku dla godności senatorskiej określonej, zmarł w Krakowie dnia 2 bm. Adam Asnyk, urodzony dnia 11 września 1838 r. w Kaliszu z ojca Kazimierza i matki Konstancyi z Zagórowskich, doktor filozofii uniwersytetu hajdelberskiego, były poseł do sejmu, człowiek charakteru nieskazitelnego, szlachetnych i rozumnych zasad, a w księdze literatury ojczystej zapisany złotymi głoskami w rozdziale pierwszym, w rozdziale poetów.

W życiu osobistym, rodzinnem, poeta doznał wiele ciężkich ciosów, a najcięższym z nich była śmierć młodej małżonki, z domu panny Kaczorowskiej, dziewicy uroczej, córki zaszczytnie znanego w Poznaniu lekarza, którą śp. Adam poślubił w r. 1875, a już po roku utracił przy urodzeniu się syna, Włodzimierza. Zwłoki jej spoczywają w Poznaniu na starym cmentarzu farnym. Matka odumarała go w r. 1871, a ojciec, który z rodzinnego Kalisza przeniósł się na kilka ostatnich lat życia do syna, w r. 1885. Był więc Asnyk przez całe życie prawie samotnikiem, zaznawszy ciepła domowego ogniska tylko w dzieciństwie i w krótkim z żoną pożyciu. To rozwinęło w nim jeszcze bardziej wrodzoną skłonność do zadumy i refleksyi, owionęło jego poezye nastrojem poważnego, głębokiego i szczerzego smutku.

Pierwsza młodość Asnyka przypadła na schyłek doby romantycznej. Cechy, których dusza człowieka, zwłaszcza wrażliwa dusza poety, w takiej dobie i w tej najbardziej chłodnej epoce życia nabiera, nie zacierają się nigdy. Zostawał też Asnyk zrazu pod silnym wpływem Słowackiego, zwłaszcza pod wpływem ostatniego, mistycznego okresu wieszczca.

Ale oto na wstępie do wieku męskiego, przed 30-tym rokiem życia, zaskoczyła go burza dziejowa i jednocześnie prawie wielki przewrót w prądach i kierunkach nauki, literatury i pojęć społecznych. Nie pogo-

dził się odrazu z tą nagłą zmianą, z tem rozchwianiem młodzieńczych nadziei i aspiracji. W epilogu do pisanego wspianiem tercynami poematu „Pan grobów“, o nastroju mglistym i mistycznym, przejęty grozą położenia i nikczemnością ludzi, powiada, że strzaskał lutnię i

»Sam do grobu wraca splamionego
Jak upiór w dawno zardzewiałej zbroi,
Któremu serce trza odjąć i głowę,
Aby nie straszyl tłuszczy co się boi...«

Życie jednak mknie dalej, natchnienie w piersi wzbiera, a serce kocha wszystkich, nawet tych nieszcześliwych, których się tłuszcza nazwało.

Z początku poeta nie chce rzucić się w wir życia społecznego, opiera się tym pobudkom i choć spostrzega już nowe światy, pragnie spoczynku, tylko spoczynku.

Oto jak odpowiada mglistemu chórowi dziewic na wezwanie do życia umarły młodzieniec:

Chcę pozostać zimny, czysty,
Na postaniu mchów,
I spoczynek mieć wieczysty
Nieprzerwanych snów.

Niech natury wieczna praca
Wznawia dalszy byt,
Niech proch w koło istnień wraca
Witać nowy świt...

Lecz ja spocząć chcę na wieki
Od duchów i ciał
Równie blizki i daleki,
Będę cicho spał.

(„Odpoczywa“).

Nie zasnął jednak i zasnąć nie mógł z takim talentem, z tak wykształconym i zdrowym umysłem, szerokim na świat poglądem i z tak miłującym ludzkość całą sercem.

Oto budzi go huk armat i krwawe luno wojny francusko-pruskiej. W szeregu sonetów „Ze sceny świata“ przedstawia dzieło anioła zniszczenia. „Ja jeden (powiada anioł) krwawy rubin zwycięstwa umieściłem w moim djademie, ku mojej

chwale i ozdobie“, ale wyznaje zarazem, że dzieło jego nie jest trwałe.

»Lecz Bóg w chmurach skryty
Spogląda na dół okiem ojcowskiej litości,
Gotów mi łup odebrać i czyn pracowity
Zniweczyć jednym tchnieniem łaski i miłości...«

Nie zasnął więc, ale chwilowo stanął na rozdrożu, w zadumie, kędy ma się zwrócić, on, poeta, który przecie innych ma za sobą pociągać, więc musiał po szeregu walk wewnętrznych i borykania duchowego między „wiarą w cel jasny a trwogą beznadziejną“, wyrażonego w wielu pięknych i przejmujących utworach, powiedzieć sobie:

Ucis się serce! — swoich strat
Już nie oplakuj stroskane,
Ale wschodzący pozdrów świat
I jego jutrznie różane.

Błogosław nowym życia dniom,
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom,
Świeżej młodości i wiosnie.

Pozdrów pokoleń przyszły ród,
Ich myśli, pragnienia, cele,
Kwiat nowych uczuć, nowych cnót,
Na naszym wzrosły popiele...

Będziesz, gdzie ludzkiej myśli zdroj
W niepowstrzymanym rwie biegu,
Gdzie się rozstrzyga duchów bój,
W walczących staniesz szeregu.

Gdzie płynie skargi rzewny głos,
Tam będziesz — i będziesz z temi,
Co chcą polepszyć ludzki los
I przynieść szczęście tej ziemi.

I do wieśniaczych zstąpisz chat
Uczucia budzić nieznane...

Więc nie oplakuj swoich strat,
Pociesz się, serce stroskane!

Chociaż więc poezya stracona została ze stanowiska, jakie zajmowała w epoce romantyzmu, a większość na razie odwróciła się od niej z niechęcią i obawą nie-

omal, chociaż poeci przestali już być wieszczami i prorokami ludzkości, nie mogli mocą uczucia odwalić głazów, ani błyskać nad tłumem mieczem archaniola, Asnyk nie uznał wcale, aby to miało być jednoznaczne ze zgonem poezji.

Nie! nie umarła, jak to próżno głoszą,
Ta jasných krain pani i królowa.

ONA.

Choć zużyte porzuci narzędzie,
Choć dawne swoje koryto odmieni,
To w nowych myślach, uczuciach lub czynie
Naprzód z wezbranym prądem życia płynie...
I dawnych marzeń potargane nici
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
W którym znów serca stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.
Nie płaczcie nad nią — bo ona w obłoku,
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku.

W ostatnim z pięciu prześlicznych sonetów, poświęconych Morskiemu Oku, Asnyk z taką pełną zachwytu apostrofą zwraca się do przyrody:

O wielki poemacie natury! któż może
Iść w ślad za twych piękności natchnieniem
[wieszem?]
Kto uchwyci poranku wzlatającą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiazdzistem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoża?
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrne chmurki zawiesi w szafirow przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem,
Gdy pijąc wszystkie blaski, żrenica pobeżna
W wichym zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem.

Miłość indywidualna nader rzadko drgała na strunach jego liry. O miłości miał podniosłe, idealne rozumienie, uważał ją za wieczyste źródło szczęścia na ziemi, jak słońce jest źródłem ciepła. Uznawał też budującą lub niszczącą siłę gwałtownej namiętności i najplastyczniej ją odtworzył w postaci Maryi, siostry Jagielly, a żony ambitnego i chytrego Wojdyły, w tragedji „Kiejstut“. Płytką i banalną miłość salonową, pod którą najczęściej kryje się wyrachowanie, nuda, lub zmysłowość, smagał nieraz z ironią i humorem, a nikle jej kwiaty i ciernie z یشcie heinowskimi traktował zacięciem.

Ty czekaj mnie, dziewczeczko cudna
Pod tą wysmukłą topolą!
Przysięgam ci — choć to rzecz trudna,
Że wrócę — gdy mi pozwolą.

Ty czekaj mnie i kochaj wciąż!
Będzie to wielką zasługą —
A jak się znajdzie dla ciebie mąż...
Nie każ mu wdychać zbyt długo!

Lecz bierz z nim ślub i kochaj znowu
Dopóki serca ci stanie,
I wierzyć chciej mojemu słowu,
Że ci to skróci czekanie.

Gdy minie już miłości szal —
Czekaj mnie pod tą topolą,
Chociażbym z grobu powstać miał,
Powrócę — gdy mi pozwolą.

Poezje Asnyka wyszły w czterech tomach, wydawanych kolejno co lat kilka pod znanym powszechnie pseudonimem El..y.

Śmierć wielkiego poety — a wielkim bywa tylko prawdziwy kapłan uczucia, bojownik myśli i mistrz piękna — odzywa się zawsze żalobnym echem wśród szero-kiego ogółu, budząc żal i jakąś dziwną tęsknotę nawet w sferach i u jednostek, na dźwięk pieśni zwykle obojętnych i uważających siebie za dalekich od poetycznych marzeń i uniesień. Ale taka to już od początku świata moc czarodziejska, taki urok poezji i sztuki, że choć fale życia codziennego przepływają obok niej tylko, a w pewnych okresach z lekceważeniem lub niechęcią odsuwają się od niej, jednak w historii cywilizacji ona przodujące zajmuje miejsce, jednak każde oko, co wstecz się zwróci, aby w dziejach ludzkości wysledzić rozwój i postęp idei, przedewszystkiem zatrzymuje się na jej tworach, niby na połyskujących w słońcu chorągwiach i sztandarach, znaczących zdała pochód procesji lub wojska.

I są zawsze poeci w każdym narodzie, jako te latarnie morskie, co przyświetlają nawie życia społecznego. One nie zastępują sterników i ich busoli, ani żagli, ani tych maszyn potężnych, co statkiem poruszają, ani rzeszy majtków, palaczy i wiosłarzy; ale to wybuchając jasnym, porwijącym płomieniem, to migocąc pośród nocy niby gwiazdy blade, kierują biegiem okrętu, wskazując mu w dali cel podróży, ostrzegając przed mielizną lub skalistym brzegiem i chroniąc od krażenia po jednym błędnem kole. One też niosą otuchę i urozmaicenie, jako odbłyśki tego wieczystego światła i piękna, którego pragnienie tkwi w każdym sercu.

Tłum podróżnych posiada świadomość ich istnienia, widzi je, choć nie zawsze dojrzeć usiłuje. Więc, gdy się dowie o zgaśnięciu której, zwłaszcza takiej, co jasnym i czystym błyszczała światłem, odczuwa pustkę i tęsknotę, jakby po stracie cichego, serdecznego druha, którego przyjaźń za życia najczęściej mało cenil i rozumiał.

W ten sposób pojmował Asnyk posłannictwo poezji, gdy włożył w usta publiczności takie do poetów wezwanie:

Chcemy tych natchnień, coby w życia zdroju
Ukazywały nową piękną stronę,
Któryby naprzód biegły w każdym boju
Pokrzepiać serca słabe lub zmęczone,
Coby rzeźbiły w klasycznym spokoju
Dumne postacie, wawrzynem wieńczone
I podnosiły wszystkie ludzkie cele,
Zdrowe pragnienia, budząc w zdrowym cielem...

Albo, gdy porównyując poetów do lilii wodnych powiedział:

Wiemy tylko, że w ciągłej pogoni
Za tą marą piękności bezwzględną
Rozsiewamy kwiaty pełne woni,
Które kwitną chwil kilka i więdną,
Ale w każdym w krótkiej trwania dobie
Zostawiamy jakąś myśl po sobie.

Asnyk, choć przeznaczeniem jego było tworzyć i śpiewać w dobie najmniej do słuchania pieśni ochoczej, wierzył, że po-

mimo chwilowego chłodu i obojętności ludzie kochają poezję i potrzebują jej:

Ty mnie nie zwiedzisz tak łatwo
Pozornym chłodem, o miła!
Choć mnie odpychasz za życia...
Choćbys mnie wzgardą zabiła.

Bo wiem, że prędzej, czy później
Chwile niechęci przeminają —
Po śmierci kochać mnie będziesz
Moja ty piękna dziewczyno!

Wy także, ludzie, przede mną
Próżno uczucia kryjecie...
Nie dam się złudzić pozorom,
Że serc zabrakło na świecie.

Jak tylko tchnienia cieplejsze
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Ty chłodna, milcząca rzeszo!

Kończymy ten dorywczy, pośmiertny szkic o wielkim poecie z serdecznym żalem po stracie, którą poniosła Polska cała, a z głębokim przeświadczeniem, że twory jego ducha nie ulegną zapomnieniu, lecz będą przechodziły z pokolenia w pokolenie, jako dzieła prawdziwego piękna, rozumnej myśli i kochającego serca.

I sprawdzi się przepowiednia jego, rzucona w „Zimowej nocy“ do potomności:

»Jak tylko tchnienia cieplejsze
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Ty chłodna, milcząca rzeszo!«

Przed paru miesiącami obchodzono uroczystość oddania hołdu znakomitemu poecie, uroczystość, która zbyt dobrze jeszcze tkwi w pamięci wszystkich Czytelników, aby jej przebieg warto było przypomnieć Czytelnikom. Była to ostatnia chwila jaśniejsza w życiu poety.

Choroba ś. p. Asnyka trwała z górą 3 miesiące. Jak wiadomo z końcem lutego br. wyjechał poeta do Neapolu, zkąd powrócił dnia 25 kwietnia już narzekający na dolegliwości żołądkowe. Niebawem rozwinął się groźny tyfus brzuszny. Najgorliwsze staranie lekarzy: prof. Pareńskiego, Bujwida i dra Surzyckiego, zapobiegły katastrofie w czasie tej ciężkiej choroby, lecz skutkiem wielkiej gorączki, którą chory przebywał, wzmożły się i spotęgowały zarodki suchoty, oddawna niszczących organizm. Przeciw temu wrogowi życia ludzkiego wiedza lekarska nie posiada dotąd skutecznych środków. Z górą przez dwa miesiące trwała niemal pewność, iż ciężka ta choroba zwałczy musi wątłe i do ostateczności wycieńczone ciało, bolesne te przewidywania dziś się sprawdziły!

Rada miejska w Krakowie uchwaliła na nadzwyczajnym posiedzeniu, aby pogrzeb śp. Adama Asnyka urządzić kosztem miasta Krakowa, a zwłoki zabalsamowane złożyć w grobie Zasłużonych przy kościele OO. Paulinów na Skalce.

Polska cała oplakuje stratę poety-patrioty, który na chwilę nie sprzeniewierzył się obowiązkom prawdziwego syna Ojczyzny.

Cześć Jego pamięci!
Spokój Jego duszy!

K. W.



(Przedruk bez podania źródła wzbroniony).

Przemysł domowy a obieżysasi

z szczególnem uwzględnieniem

Prus Zachodnich.

Napisał

sędzia *Chmielewski*

z Prus Zachodnich.

(Ciąg dalszy.)

Jak już poprzednio zauważyliśmy odznacza się nasz robotnik przed robotnikami innych krajów chlubnie tak wielką pracowitością przy niesłychanie skromnych wymaganiach, że obok niego żaden inny robotnik ostać się nie może. Ta okoliczność daje nam pewność, że i w przemyśle domowym nie ułęknie się żadnej konkurencji, jak go się tylko nauczy wyrabiać dobry towar. Niskie zaś ceny, do których za swą pracę jest przyzwyczajony, dają najpewniejszą rękojmią tego, że nasz obieżysas nauczywszy się jakiegoś przemysłu domowego nie poniecha go tak łatwo. Przypatrzmy się tylko ich budżetowi rocznemu.

Otóż przeciętny obieżysas z tucholskich borów oszczędza przez wiosnę, lato i jesień najwyżej 120 do 150 mk., z których nie więcej jak połowę zużywa przez zimę. Niektórzy z nich niechętnie wychodzą na obczyznę i szukają stałego zatrudnienia w fabrykach miejscowych, gdzie zwyczajny zarobek mężczyzny wynosi przy akordowej pracy około 8 mk., dziewczyny zaś około 5 mk. tygodniowo. Zatrudnienie takie w fabryce jest dla naszych ludzi tak pożądanem, że fabrykanci w miejsce każdego oddalonego robotnika mają za zawsze licznych następców do wyboru.

Jakże wyglądają w obec tej płacy, o którą się nasz robotnik ubiega, zarobki przemysłowców domowych gdzie indziej? Ciekawe szczegóły w tym względzie zebrał w odczycie swym pan Parczewski.

Dowiadujemy się tam, że przeciętny zarobek tokarzy fajek w Ruhla wynosi 12 mk. tygodniowo, że to samo zarabiają średni majstrowie pianek, podczas gdy lepsi osiągną 18 do 21 mk., że zatrudnieni wyrobem zabawek dzieciennych formiarze w Sonnenburgu pobierają 12 do 15 mk., a zwyczajni robotnicy zabawkowi zaledwie 7 do 9 mk. tygodniowo, dalej, że snycerze w Eisenachskim Oberlandzie zarabiają przy pomocy całej rodziny nie więcej jak 15 do 16 mk. tygodniowo, pończosznicy w Apolda 10 do 20 mk., a najmniej z wszystkich szlasy tkaaczy, których tygodniowy zarobek nie przechodzi 5 do 6 mk.

Widzimy więc, że z wyjątkiem szlaskich tkaaczy i robotników zabawkowych w Sonnenburgu tygodniowy zarobek przemysłowca domowego powszechnie wyższym bywa, niż 10 mk. i dochodzi czasem aż do 20 mk., podczas kiedy nasz zachodniopruski obieżysas cieszy się, jeżeli może w fabryce miejscowej zarobić tygodniowo 7 do 8 mk. na mężczyznę, a 5 mk. na dziewczynę.

Z tego wynika jako pewnik wniosek, że nawet i owo osławione z niskiego zarobku i dla tego na Dolnym Szląsku mimo opieki rządowej upadające płóciennictwo domowe nie daje niższego tygodniowego zarobku, niż ten, który przez cały rok pobierać zwykły dziewczęta, uczęszczające regularnie do fabryk zachodniopruskich, że dalej robotnicy zabawkowi w Sonnenburgu, o których to biedzie tak wiele się słyszy, nie mają niższego zarobku tygodniowego, niżli ten, który u nas pobierają mężczyźni, pracujący w fabrykach zachodniopruskich. A przecież robotnik nasz ubiega się o zatrudnienie w fabryce, chociaż tam poddać się trzeba panującemu w niej ostremu i często bardzo bezwzględemu rygorowi, wyzyskującemu nie raz niesumienne niezajomość naszego ludu.

Nie ulega więc najmniejszej wątpliwości, że u naszych obieżysasów przemysł domowy dodatkowy, traktowany tylko

w czasie zimy, musiałby stać się bardzo obfitem źródłem dobrobytu, chociażby nawet przynosił niższe tygodniowe zarobki, niżli po dziś dzień płóciennictwo na Dolnym Szląsku lub wyrób zabawek w Sonnenburgu, tem więcej, iż w naszych stosunkach nie ma najmniejszej obawy o to, aby przemysłowcom domowym mogło z czasem zabraknąć ziemi do osiedlania się.

Ziemi u nas jest dużo, a żądza naszego chłopca do posiadania roli jest nienasyconą. To też za pewnik niezachwiany uważam, że całe wieki musiałoby upłynąć, zanimby nasza Tucholszczyzna dochowała się bezrolnych przemysłowców domowych. A dopóki przemysłowiec domowy opiera się na podstawie posiadłości ziemskiej, chociażby nawet tylko kilkomorgowej, nie dosięgają go nigdy niebezpieczeństwa moralne, ani materialne, na które bezrolni przemysłowcy domowi tak bardzo są wystawieni.

Pouczający przykład pod tym względem przedstawia nam Gryżowo w powiecie lańcuckim na Szląsku. W miejscowości tej, która, będąc niegdyś własnością dawnego opactwa Cystersów, po kasacyi klasztoru w roku 1810 rozdzieloną została na kilkomorgowe parcele, wyróżniają się przemysłowcy domowi wśród wszystkich towarzyszy na Szląsku bardzo dobrym bytem przez to, że znajdujące się w ich posiadaniu kilkomorgowe parcele, których obrobienie nie wymaga znaczniejszych kosztów, dają im zapewnienie bytu materialnego, niezależnie od zarobku przemysłowego.

Kolonizacja więc polska, o której już mówiliśmy, a która to, dzieląc ziemię na stosunkowo małe kawalki, u nas dzisiaj wielkich nabiera rozmiarów, pozostanie na bardzo długie lata zdrową podstawą, zapewniającą przemysłowi domowemu pomyślny rozwój. Odwrotnie zaś przemysł domowy, dobrze zorganizowany, stanie się niechybnie o wiele silniejszym motorem parcelacyi, niż dzisiejsze wędro-

Przedruk wzbroniony.

Moja wycieczka do Berlina.

Dla »Pracy« opowiedział

Kamerton.

(Ciąg dalszy i dokończenie).

Rozsiadliśmy się na krzesłach i fotelach, rozmowa toczyła się około interesów familijnych, a mianowicie koło punktu, że z powodu śmierci nieboszczyka, któregośmy właśnie pochowali, na mnie z prawa wypadła obowiązek zostania opiekunem mojej siostry, oraz moich siostrzenic — Wilhelinki i Augustynki. Wniosek ten podany przez samą moją siostrę znalazł bardzo silne poparcie ze strony porucznika i rotmistrza. Zaczęłam się wypraszać od tej godności, widząc, że jej przyjęcie mogłoby mnie postawić w podejrzaniu bardzo przykrem, że się wkraść zamierzyłem w obcą rodzinę, ażeby jej majątek objąć w dyspozycję.

Nie wiele to jednak pomogło i już byłbym zniewolony przyjąć godność opiekuna, gdyby nie to, że otworzyły się drzwi i weszła z lampą owa nieznaną moją z Centralhotelu.

— No! pomyślałem sobie — teraz

wybuchnie katastrofa! I nie omyliło mnie przecucie.

— Przyszedł tam jakiś pan — rzekła pokutująca dusza z Centralhotelu, nie poznając mnie jeszcze i powiada, że jest Geheimrat Baumritter! nie rozumiem.

Wszyscy spojrzeli po sobie i na mnie.

— Geheimrat Baumritter, przecież to pan! — zawołali razem rotmistrz, porucznik, mama, Wilhelinka i Augustynka.

— Pan jest Geheimrat Baumritter?

— dodała, poznając mnie widocznie nieznaną z Centralhotelu, pan, który dzisiaj z rana?...

Byłem zgubiony! Tylko nadzwyczajna przytomność umysłu i pomysłowość mogła mnie ocalić.

— Wiem już, wiem — rzekłem półgłosem — niech państwo będą cicho, jak najciszej. To jakiś nieszczęśliwy obłąkany, który się przyczepił do mnie, twierdząc, że on jest Geheimratem Baumritterem, a nie ja. Niech państwo tu posiedzą cicho, cichuteńko, ja się tam zaraz z nim załatwię i wyprawię go, zkąd przyszedł.

— Ależ pan był dzisiaj rano w Centralhotelu — zaczęła moja poranna pokutująca dusza.

— Cicho pani, cicho na miłość boską, bo ten wariat gotów wpaść w furę, zaraz go wyprawię i wrócę tutaj to się wszystko wyjaśni.

Wszyscy się uciszyli.

Wyszedłem do przedpokoju. Był tam Geheimrat Baumritter we własnej osobie, wieszal właśnie swoje futro na kołku.

— Panie — rzekłem do niego po cichu z tajemniczą miną — przyszedł pan w bardzo nieszczęśliwą chwilę... rotmistrz strzelał się z poręcznikiem, obaj ranni, ja byłem sekundantem... przyniosłem wiadomość... panny pomdlały... trzeźwią ją teraz... są porozbierane... wejść nie można... siadź pan tu w przedpokoju, cicho, cichuteńko, najciszej, dopóki pana nie poproszą... pobiegnę po kilku doktorów.

I porwawszy futro, zarzuciłem je na siebie i wybiegłem spiesząc się, jakby mnie kilka regimentów kawaleryi gonilo.

Nie odetchnąłem, póki nie znikł na zakręcie jakiejś ulicy. I tu jednak nie czułem się jeszcze bezpiecznym. Piechotę nie tak łatwo ująć przed kawaleryą. Szczęściem przejeżdżała doróżka, wskoczyłem do niej.

— Hotel Silesia! — zawołałem.

Doróżkarz zaciął konia i pojechał.

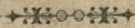
— No — myślę sobie — teraz nie prędko będą mogli pomyśleć o pogoni. Geheimrat posiedzi z kwadrans w przedpokoju nim się odważy zapukać, oni w salonie także z kwadrans będą czekali, żebym się załatwił z wariatem. Gdy narzecie wejdzie zniecierpliwiony Geheim-

wki robotników naszych za pracą na zachód, niż wszelkie banki i spółki ziemskie.

Ale zrobi mi może ktoś zarzut, że rozprawiam o nadzwyczajnej ważności przemysłu domowego u nas, nie określwszy poprzednio dokładnie, co przez te wyrazy rozumiem. Powie ktoś inny. Przecież owe grube płótna, które przed kilkudziesięciu laty u nas w każdej chacie wyrabiano, nie mogą chyba mieć tak wielkiej ekonomicznej doniosłości. Tak by się mogło wydawać. A jednakowoż twierdzi największy znawca galicyjskiego przemysłu domowego, pan hr. Włodzimierz Dzieduszycki, który to w swem muzeum lwowskim pomieścił bardzo ciekawy zbiór wyrobów tegóż przemysłu, w swym opisie wystawy galicyjskiego przemysłu domowego, urządzonej w roku 1890 w Wiedniu, że jeszcze nie dawno temu przemysł domowy u nas bardzo często zaspakajał potrzeby wykształcześniejszych i mienniejszych warstw.

Więc zapoznajmy się tylko z tym sposobem zarobkowania bliżej, a przyzna każdy, że może on się stać u nas dla niejednej ubogiej okolicy bardzo obfitem źródłem zarobku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



POLITYKA.

Położenie na Wschodzie, które już tyle krwi napsuło dyplomatom, a jeszcze więcej całemu inteligentnemu ogółowi — nie może jakoś się zmienić. Wnosić by można z przewlekania układów w Carogrodzie, że pó za odszkodowaniem Turcy oraz wogóle poza zatargiem turecko greckim tkwią jeszcze jakieś bardzo ważne kwestye, stanowiące osnowę całej akcji dyplomatycznej. Nie omył się zapewne, wnosząc, że osnową tą jest uregulowanie

wzajemnych stosunków mocarstw do siebie, — stosunków, które wobec tureckich zwycięstw uledez musiały zmianie.

W ubiegłym tygodniu już zapowiedziały urzędowe depesze, że układy skończone, a sultan zgodził się na postanowione warunki: — dziś zaś znów postać rzeczy się zmienia i końca przewidzieć trudno. Austriacki minister spraw zewnętrznych konferował w Paryżu z francuskim ministrem. Podobno omawiano sprawę przymierza Austro-Rosyjsko-Francuskiego w sprawie wschodniej, przebakiwano nawet jakoby o podziale Turcy mającym nastąpić niezadługo.

Tymczasem układy toczą się dalej — jest to wieczna śpiewka, której monotoność znużyć jest w stanie najcierpliwszego obserwatora. Radośnie powitane irade sultańskie, zapowiedź pokoju, nie zakończyło ciężkich kłopotów dyplomacyi. Wysoka Porta poddała się w kwestyi uregulowania granicy wymaganiom mocarstw tylko w „zasadzie“, jak wogóle od tylu lat na wszystko najchętniej zgadza się w „zasadzie“, w tej błogiej nadziei, że znajdzie się pod ręką jakiś pretekst, który pozwoli wywinąć się od niewygodnych zobowiązań. Głośno okazuje tedy jaknajprzykładniejszą uległość, żeby w ten sposób uniknąć silniejszego nacisku, o którym tu i owdzie zaczęto już w ostatnich dniach przebakiwać. Pogłoski o wycofaniu się wojsk tureckich z Tessalii okazały się przedwczesne; odzywają się głosy, że nie prędzej Tessalia będzie zwrócona prawemu właścicielowi, aż Turcy się uda otrzymać korzystniejsze warunki pokoju i na Krecie będą zaprowadzone „normalniejsze stosunki“.

Druga sprawa którą od dawna już interesują się politycy z zawodu, — to sprawa opozycyi niemieckiej w Austrii i zaognienie stosunków narodowościowych w monarchii Habsburgów. Wiadoma to rzecz z jakim impetem uderzyli Niemcy w podstawowe prawa narodowości, za-

mieszkujących Austryę. Jasnem jest, że taka gwałtowna walka wywołać musiała odpór w świecie słowiańskim, odpór, który znalazł nową podniecie w niezdecydowanej podstawie prądów hr. Badeniego mianowicie w sprawie gimnazjum polskiego w Cieszynie.

Polacy zwołali na 1-go sierpnia wiec w Cieszynie, na którym traktowane także będą wnioski w sprawie uciśnionej politycznie pod każdym względem ludności polskiej na Szląsku. Czytamy o tem w „*Rolniku Szląskim*“:

„Panować nad sobą dłużej nie pozwolimy i żądamy równych praw z innymi. Do tego potrzeba dwóch rzeczy: Po pierwsze musimy na tym wspólnym wiecu polskim wszyscy, czy katolicy, czy ewangelicy, czy związkowcy, czy ludowcy, czy chrześcijańsko-socyalni, czy socyalni demokraci, stanąć zgodnie jako Polacy, nie rozprawić się między sobą o nasze różne zasady, wspólnie zmanifestować i ogłosić przed światem, o co wszyscy wspólnie od 50 lat walczyliśmy i czego się wszyscy stanowczo domagamy: narodowego i politycznego równouprawnienia. Powtóre musimy na tym wiecu stanąć jak najliczniej ze wszystkich stron kraju, aby takowy był wyrazem woli całej polskiej ludności“.

Tymczasem opozycya niemiecka zachwiała się pod uderzeniem ciosu, który wyszedł od Niemców. A mianowicie *postowie Prober i Steinwender wiedzieli o rozporządzeniu językowym Badeniego i znali treść tegoż, a nawet zachęcali Badeniego do wydania tych rozporządzeń.*

Wobec tego oświadczenia w dziwnym świetle przedstawia się taktyka posłów niemieckich — staje się bowiem widocznem, że dali się oni powodować szwinstycznie usposobionym krzykaczom niemieckim, że dali sobą rzuć jak piłką gwoli ucieście gawiedzi, która nie znała nawet treści rozporządzeń językowych, a której chodziło tylko o to, aby z całego

rat wszyscy się zerwą przerażeni, myśląc, że mają przed sobą warjata. On będzie gadał o pojedynku, o dwóch ranionych, o zemdleniach, zacznie się wrzawa, hałas, nim się to wszystko zakończy i wyjaśni mogę się wyprowadzić z hotelu Silesia.

Zostawać tam niebezpiecznie, bo z kawaleryą nie ma żartów.

Przyjechałem, zażądałem rachunku i zapłaciłem.

Ręce mi się trzęsły, gdym płacił, pilno mi było.

Nie miałem czasu pomyśleć o tem, że przy płaceniu mignęło mi przed oczyma w mojej portmonetce, którą mam zwyczaj nosić w kieszeni futra kilka stówek, gdy ja miałem tylko jedną, a resztę drobniejszemi banknotami. Ktoży się tam zastanawiał nad takim przywidzeniem, musiało mi się zdawać, zkądżeby się wzięło więcej niż miałem.

Kazałem się wieść daleko, jak najdalej od hotelu Silesia.

Doróżkarz zawiózł mnie do Kaiserhotelu.

Była to już dnia tego trzecia moja siedziba.

Zmęczony wypadkami dnia tego postanowiłem dać za wygraną wszystkiemu i nie wychodzić już z domu.

Gdym się nazajutrz wybierał na mia-

sto i chciałem włożyć futro, nie mogłem wyjść ze zdziwienia.

Futro to tak rażąco różniło się od mojego, że nie mogłem tego nie spostrzedz.

Widocznie przez pomyłkę w pośpiechu porwałem futro Geheimrata.

Co gorsza, przyszło mi na myśl, że skoro futro nie jest moje, to nie jest moja i portmonetka.

Zajrzałem do niej i rzeczywiście, choć powierzchownie bardzo podobna, treścią różniła się od mojej, jak niebo od ziemi.

Było w niej 1765 marek 20 fen. waluty niemieckiej, gdy moje fundusze, jak czytelnikom wiadomo nie wynosiły nawet dziesiątej części tego kapitału. Stałem przez chwilę jak skamieniały, potem zacząłem załamywać ręce, potem rwałem sobie włosy z głowy — wszystko to nie pomagało.

Nie pozostawało mi nic innego jak chyba... przywłaszczyć sobie futro i pieniądze, albo... narazić się na posiekanie przez kawalerzystów.

Jeżeli ze mnie okazała nie zrobiła złodzieja, przepiszcie to czytelnicy mojej wielkiej cności.

Po kwadransie namysłu wyszedłem z Kaiserhotelu, zapytawszy gospodarza gdzie jest najbliższe biuro komisarza policyi.

Udałem się pod wskazanem adresem,

drząc na myśl, coby było, gdyby mnie po drodze w przywłaszczonym futrze spotkano.

— Panie komisarzy — rzekłem wchodząc — stało mi się straszne nieszczęście.

— A to pan! — zawołał komisarz, poznając mnie — wiem już, wiem o tem nieszczęściu.

— Oskarżyłeś pan o przybieranie fałszywego nazwiska i o zamiar samobójstwa najprzyzwoitszą osobę... Tak lekkomyślnie postępowanie... wprowadzanie w błąd władzy...

— Ech! to wszystko głupstwo z przepraszeniem pana komisarza — stało się jeszcze co innego.

— I to wiem... doróżkarz numer vier und achtzig zaniósł tu na pana skargę, żeś nie wypłaciwszy mu za kurs i za dwugodzinne czekanie przed Centralhotem, uciekł wczoraj z tego hotelu do innego.

— I to głupstwo panie komisarzu — odparłem — co mu się należy to według taksy zapłać... ale zaszło coś straszniejszego jeszcze...

— Coś straszniejszego jeszcze? powtórzył wytrzeszczając oczy komisarz.

— A tak, niestety panie komisarzu... to futro i ta portmonetka jest nie moja.

— Jakim sposobem pan do nich przyszedłeś?

gardła wrzasnąć: „precz ze słowiańskim światem! My tu Germanie tylko mamy prawo rozkazywać!“

A gdzie prawo i sprawiedliwość, a gdzie cywilizacja, o wielki ty narodził filozofów i myślicieli?

Nie na polu nauki, lecz na polu praktycznego zastosowania wiedzy w dziedzinie przemysłu i handlu napotkał naród niemiecki poważnego zapaśnika w Anglii. Za przykładem Anglii starają się Niemcy już nie od dzisiaj o powiększenie swych kolonii zamorskich, które zapewniają ich produkcji wyborne rynki zbytu. Owszem, w samej nawet Anglii zaczęli Niemcy z powodzeniem konkurować z przemysłem angielskim.

W stosunkach administracyjnych i handlowych Anglia wyrobiła sobie już pewien system. Treścią tego systemu jest wyzyskiwanie bezlitośnie kolonii stojących na niskim szczeblu oświaty i dalekich od samodzielności ekonomicznej: tak się dzieje np. w angielskich Indjach, albo w Afryce, gdzie w całym kraju Matabele koloniści europejscy wymagają od tuziemców przymusowej pracy i że to się dzieje z wiedzą i wolą towarzystwa południowo-afrykańskiego. Ucisk, jakiego doznają krajowcy od poszukiwaczy złota i innych awanturników europejskich, jest tak ciężki i ohydny, że on był najważniejszym, jeżeli nie jedynym powodem krwawego powstania, niedawno stłumionego. Biali nie uznają ani własności, ani związków rodzinnych krajowców, uważają ich za niewolników, wyjętych z pod prawa i opieki państwa. Takie głosy powinny jak najszerszem echem odbić się w Europie i we właściwych sferach wywołać stanowczą reakcję przeciw rozpasanej samowoli „cywilizatorów“ afrykańskich.

Żadne szczytne hasło nie było w naszym „cywilizowanym“ stuleciu nadużywane bardziej niż *cywilizacja*. Pod płaszczykiem rzekomej cywilizacji wre nie-

litościwa walka ras i to nie tylko w odległej Afryce...

Z koloniami, które już stanęły na wyższym stopniu ekonomicznego rozwoju i zdobywszy pewną samodzielność, wylamały się z pod zależności od Anglii — jak np. Kanada w Ameryce — z takimi koloniami pertraktuje Wielko-Brytania o dogodne warunki cłowe. Aby podkopać handel i przemysł niemiecki, zawarła Anglia niedawno przymierze celne z Kanadą a następnie rząd angielski wypowiedział traktat handlowy, zawarty z Niemcami. *Traktat ten traci moc swą dnia 30 lipca 1898 r.* Eksport angielski wynosił w r. 1895 — 13,6% ogólnej sumy, zaś eksport z Niemiec do Anglii wynosił 19,8%. Wynika z tego, że przemysł i handel niemiecki musi przygotować się na poważne straty.

Również i w dziedzinie zbrojenia się nie chce się Anglia dać wyprzedzić Niemcom. Niedawno lord admirałcy, Goschen, oświadczył, że rząd angielski przyspieszy budowę okrętów a nawet zażąda niebawem nowego kredytu na budowę okrętów wojennych, przeważnie krzyżowców, pancerników i torpedowców. — Kroki jakie poczyniły w sprawie budowy okrętów wojennych inne narodowości — mówił lord Goschen — zmuszają Anglię do dotrzymania im kroku.

Te wszystkie zbrojenia się, które rzekomo potrzebne są do obrony, a naprawdę zaś do ujarznienia kolonii, nie zdolają jednak przeszkodzić naturalnemu rozwojowi podbitych krajów, które z czasem naborą siły i wywołają się z tych żelaznych uścisków. I dziś np. jesteśmy świadkami takiej walki o wyzwolenie kolonialnych posiadłości z pod przemocy metropolii. Kuba zwycięsko walczy o swą niepodległość a najnowsze wiadomości w cokolwiek odmiennych barwach przedstawiają położenie Hiszpanów, niż niewiarygodne depezesz rządu hiszpańskiego. Położenie Hiszpanów na Kubie dalekiem

jest od takiego, jakim go maluje generał Weyler w swych raportach urzędowych. Armia cierpi na dotkliwy brak żywności, nie posiada ubrania, obuwia, malarya zaś i dysenterya zadają jej wciąż dotkliwe ciosy. O tej ostatniej klęsce nie mogą już przemilczeć źródła urzędowe — i otwarcie przyznają, iż w szpitalach wojskowych w prowincyi Hawana znajduje się do 25,000 chorych, w Pinar del Rio 7,000. Dotkliwie również uczuwać się daje brak lekarstw i lekarzy. Tych ostatnich jest wszystkiego 476-u, czyli, iż jeden lekarz przypada na 87 chorych. Od kilku już miesięcy żołnierze w szeregach nie dostają mięsa, dawane jest ono tylko chorym w szpitalach i to w bardzo mikroskopijnych porcjach.

PRZEGLĄD PRASY.

Z lamów naszych dzienników politycznych nie schodzi jeszcze z porządku dziennego kwestya ustawy o stowarzyszeniach, powodując je do mniej lub więcej trafnej oceny stosunku żywiołów proletaryjnych do ogółu cywilizowanych społeczeństw.

„Kuryer Poznański“ pisze:

»Wszyscy odetchnęli swobodniej, gdy Izba deputowanych w sejmie pruskim na ostatniem swem posiedzeniu w sobotę odrzuciła, wprawdzie tylko bardzo drobną większością głosów projekt rządowy, mający ograniczyć prawo stowarzyszania się i zebrań. Zamierzane wzmocnienie władzy policyjnej w obec zebrań i stowarzyszeń byłoby tylko potężnie spotęgowało istniejący już stopień rozgoryczenia i pociągnęło za sobą wzrost dążeń przewrótowych, które chełtanoby odeprzeć przez tak nieszczęśliwie wybrany środek mechaniczny. Ustawa antysocjalistyczna powinna była pouczyć rząd,

— Zabrałem przez pomyłkę.
— Ładnych pomyłek pan się dopuszczasz! — rzekł komisarz przeglądając portmonetkę i licząc pieniądze — tego futra i portmonetki od wczoraj wieczór szuka cała policya berlińska... Ależ tu nie ma wszystkich pieniędzy! — dodał chwytając się za głowę.

— Naturalnie, że nie ma... wydałem trochę...

— Jak pan śmiałeś wydawać nie swoje pieniądze?

— Dyabliż tam je wiedzieli, że to nie moje. Biorąc to futro zostawiłem swoje wraz z portmonetką i moimi pieniędzmi. Wydatek zwrócę, gdy swoje odbiorę, ale mi pan w tem musisz pomóc, panie komisarzu, bo ja się za nie w świecie nie pokażę Geheimratowi Baumritter, rotmistrzowi, porucznikowi, matce, Wilhelmince i Augustynce.

Dla komisarza wszystkie te osoby należały do jakiegoś nieznanego mu komedii. Musiałem wszystko opowiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami i nareszcie opowiadanie przekonało zacnego urzędnika, że działałem w najlepszej wierze.

— No, no, — rzekł — zostaw pan tu futro i portmonetkę, już ja całą sprawę załatwię tak, że się pan nie będziez

potrzebował widzieć z osobami, z którymi widzieć się nie chcesz.

— Ale jakże ja będę chodził bez futra na taki mróz?

— A to już nie moja rzecz — odparł komisarz — ponieważ jednak niepodobna, abyś się pan narażał na przeziębienie, więc zostań pan tutaj, dopóki rzecz się nie załatwi.

Był to areszt w formie najdelikatniejszej, lecz zawsze areszt.

Nie było rady musiałem mu się poddać i drugi dzień mego pobytu w Berlinie przepędziłem nudząc się strasznie w kancelaryi policyjnej.

Nad wieczorem przyniesiono moje futro i portmonetkę.

Komisarz zatrzymał z moich pieniędzy kwotę potrzebną dla uzupełnienia sumy Geheimrata oraz na zaspokojenie dorózkarza, a następnie oświadczył mi, że dzięki jego wstawiennictwu, rodzina Geheimrata odstąpiła od skargi przeciwko mnie o najście domu i przybranie fałszywego nazwiska i charakteru, a pokutująca dusza z hotelu cofnęła skargę za napaść i potwarcze oskarżenie.

— No! — pomyślałem — skończyło się to wszystko nareszcie.

Niestety! nie wszystko się jeszcze skończyło.

Po załatwieniu wszystkich formalności urzędowych, komisarz powstał i zwrócił się do mnie zaczął mówić.

Tematem jego przemowy była moja nie do darowania lekkomyślność.

Mówił przez kwadrans, myślałem, że już skończył, on odetchnął tylko i mówił przez drugi kwadrans.

To co mówił było tak wzruszającym, tak przenikającym, tak budującym, że ledwem się od łez powstrzymałem.

Gdy wreszcie skończył, rzekłem do niego.

— Panie komisarzu! Miała Francya Fenelona, Massillona i Bossueta, myśmy mieli Skargę, Birkowskiego i Woronicza, ale Prusy mają pana i to wystarcza!

Pocziwy komisarz uśmiechnął się pewny, że go porównałem z najznakomitszymi geniuszami policyjnymi tego świata.

Ja zaś mając już dosyć przygód, pożegnałem Sylwusia i zaraz nazajutrz opuściłem Berlin.

Pakunki moje nierozpakowane powróciły do Warszawy z tej krótkiej nadbrudną Sprewą pielgrzymki.

KONIEC.

Karmelki napelniane. — Cukry na sposób warszawski. — Czekolady i czekoladki szwajcarskie i paryzkie Bombonierki paryzkie. — Torty najrozmaitsze.

Przesyłki skuteczniam odwrotnie franko do każdej stacji pocztowej.

A W ŻUROMSKI. Cukiernia, fabryka cukrów i czekolady.

jak dalece tego rodzaju środki wzmocniły stronnictwo socjalno-demokratyczne. Przykrojona podług jej wzoru mała ustawa anty-socjalistyczna, którą teraz nareszcie pogrzebano, miałaby być taki sam skutek: przytłumione na zewnątrz usiłowania szukają sobie ujścia w tajnych stowarzyszeniach, przez co stają się tem niebezpieczniejszemi i bardziej pociągającemi. Tylko wolność, i swobodne rozprawy nad politycznymi kwestyami dają pewną rękojmią, iż ruch mający na celu przewrót porządku państwowego i społecznego nie jest groźnym».

My, Polacy, zawsze i wszędzie uważaliśmy sprawę wolności — za naszą własną sprawę, a szczególnie zaś zwolennikami jesteśmy wolności słowa i przekonań, bo sami w długim szeregu lat naszego istnienia narodowego daliśmy poniekąd dowód, że na tej wolności słowa opiera się przygotowanie najszerszych warstw społecznych do życia politycznego. Dla tego też — nie ludząc się co do praktycznych wyników i nie obiecując sobie poprawy stosunków — zasadniczo stanęliśmy na stanowisku sprzecznem ze stanowiskiem rządu, aby w ten sposób dać dowód, że nietylko nasze własne położenie, ale sprawa wolności wogóle motywują nasze postępowanie. W pełnem zrozumieniu tego zasadniczego stanowiska, jakie podkreślać musimy zawsze i wszędzie, jeśli chcemy sprawę polską sprowadzić na tory ogólnie ludzkich zasad słuszności i sprawiedliwości, pisze „*Dziennik Poznański*“:

»Cieszymy się, że sprawa wolności, jakkolwiek małą większością, wielki odniosła tryumf, bo zawsze i wszędzie jesteśmy i musimy być za wolnością, słusnością, równością prawa. Wiemy jednak i to, że zwycięstwo wolności nic a nic nie zmieni w naszym położeniu, bo jeżeli przesładowa-

nie polskości i polskich stowarzyszeń, występujących na zewnątrz, jest postanowionem, pójdzie ono swoim trybem dalej. A dzisiejsze wiadomości, które czytelnik znajdzie na innem miejscu, chyba świadczą, że tymczasowo nie się jeszcze na korzyść naszą nie zmieniło i że teraz do stycznia r. p. nawet czekać będziemy musieli z zapytaniem w sejmie, na jakiej zasadzie się to dzieje, co się dzieje«.

A więc trafna ocena rzeczywistych stosunków, a nie mgliste marzenia powinny przewodniczyć nam w pracy społecznej i powinny być drogowskazem w politycznym labiryncie. Praktyczną zasadę tę wprowadza też w czyn „*Dziennik Poznański*“, zmieniając swe pierwotnie nader przychylnie usposobienie dla sprawy ugody polsko-rosyjskiej na postawę bardziej trzeźwą, liczącą się z faktami, a przede wszystkim krytyczną.

Sprawą, która zdawała się być nader cennem ustępstwem rządu rosyjskiego wobec ludności polskiej w Królestwie są serwituty włościańskie, czyli zobowiązania, jakie właściciele ziemscy mają wobec ludności wiejskiej: serwituty te były od dawna jabłkiem niezgody między obydwoma klasami społecznymi, a załatwienie ich wydawało się ugodowcom szczytem żądań.

Tymczasem, jak wskazuje poniżej podana korespondencja „*Dz. Poznańskiego*“ rząd rosyjski powodował się tylko własnym interesem w załatwieniu sprawy serwitutów, nie zaś jakimiś sympatjami dla Polaków.

»Krótkowidze polityczni rosyjscy, ograniczeni biurokraci sądzili, iż przy utrzymaniu serwitutów władze będą miały zawsze po swojej stronie chłopą przeciwko dworowi. Tymczasem gospodarstwo z serwitutami doprowadziło gospodarzy do nędzy, antagonizm zaś pomiędzy chłopem a panem

wyrobił u ludności wiejskiej instynkt anarchistyczne i socjalistyczne, które zaiste państwu i porządkowi publicznemu na dobre nie wychodzą. I tu już dziś grubo się mylą ci, którym się zdaje, że chłop stoi po stronie rządu. Chłop dziś już z rządu jest niezadowolony, ponieważ on jemu nie dotrzymuje tego, co komisarze włościańscy obiecywali. Świeżo w Hrubieszowskim miały miejsce nieporządki wywołane przez chłopów, podżeganych aż przez pewnego doradcę z Petersburga. Zbrojna interwencja musiała mieć miejsce, a ta pewno ani władzom nie była na rękę, ani też stosunku pomiędzy chłopem a władzą miejscową nie poprawiła“.

Tymczasem, nie bacząc na te tak przekonywujące fakta, niektóre organa prasy polskiej zakordonowej wpadają w zachwyty na samą myśl bytności cesarza Mikołaja w Warszawie. Tak np. pisze krakowski „*Czas*“:

»Wobec tego ogół nasz czuje potrzebę serdecznie powitać monarchę, niezależnie od wszelkich programów i aspiracji. Nie mówiąc i nie chcąc prowadzić wojny z państwem, naród pojmuje i odczuwa, że byłoby w tem coś złego, coś niedelikatnego, coś dzikiego nawet, gdybyśmy nie okazali cesarzowi, że jego dobre chęci zauważyliśmy, łaskawość jego odczuliśmy i jesteśmy mu wdzięczni.

Widzicie więc, że moment to rzeczywiście ważny. Z jednej strony naród wchodzi na inną, nową drogę, pełen nadziei, że go ona zaprowadzi dalej niż dawna. Z drugiej strony dynastia i państwo okazuje jak gdyby chęć trwałego rozwiązania kwestyi, która mu nieraz w ważniejszych momentach była kulą u nogi«.

Przytoczywszy powyższe słowa „*Czasu*“ pełne różowych nadziei, „*Dziennik Poznański*“ wylewa niejako kubek zimnej

Wychowanka Dziadunia.

(Ciąg dalszy.)

XXVIII.

Zbliżał się dzień piętnastego maja; niezliczone kwiaty górę okrywały. Naokoło szybu, który miał już trzydzieści pięć metrów głębokości górale pracowali z podwojoną gorliwością. Przebyli najtwardsze łupki czerwone i już się dostali do miękkiego „gruntu ropnego.“ Pewność, że wkrótce osiągną celu i balsamiczne zapachy jodeł i sosien podniecały ich ochotę.

Żyd Izaak przybywał codziennie w towarzystwie adwokata, aby się przekonać, jak praca postępuje. Pochyleni nad otworem, patrzyli na siebie znacząco i szeptać bezustannie rozprawiali o jakichś nowych kombinacjach.

Między młodym Mirskim i jego żoną chłód coraz większy panował; w braku jednej chwili szczerego porozumienia, miłość ich ustępowała dumie i zaciętemu milczeniu.

Praca była dla Konrada wielką pociechą; wszystkie władze umysłu i nabyte wiadomości jej poświęcał. Bódcem zaś do niej była myśl, że zwycięstwo to wybawi go z fałszywego położenia i postawi go na równi z żoną pod względem majątkowym. Wówczas głowę podniesie i zażąda, aby Micia przemówiła. Do tego czasu pierwszy nie poda ręki do zgody, ani próbować be-

dzie tłumaczenia i muszą tak żyć dalej, sercem rozłączeni.

Trzynastego Maja wielki ruch panował między pracownikami, którzy od swego pana przejęli trawiacą go gorączkę i pilność do pracy. W wilię bowiem, ku niemałemu wrzuceniu Konrada, spostrzeżono nad studnią unoszące się lekkie niebieskie gazy, polyskujące w promieniach słonecznych. Były to pożądane zwiastuny; głównego źródła dosięgną za parę już godzin.

— Do roboty! do roboty! — wołał Konrad, przybывая z strony folwarku i dawno niewidziany uśmiech rozweselił twarz jego.

Wiertnicy spuścili świder, gdy w tym zatrzymali się nagle: narzędzie uderzyło o jakieś twarde ciało.

— Musiał ktoś wrzucić kamień — zawołał Piotr Bela, jak gdyby piorunem rażony.

— Co tam za głupiec gada o kamieniu? — krzyknął Mirski i rzucił się ku otworowi.

Kazał świderem nowy zrobić obrót... i zbladł: narzędzie kute z żelaza wyszczerbiało się powoli. Co się tu stało? Przypadek, czy złość ludzka?

Nie tracąc i chwili czasu, rozkazał napęłnić wiadro mocno ubitą gliną i przewrócone wpuścił w otwór. Po kilku minutach niecierpliwego oczekiwania, wyciągnęli je napowrót i ukazał się na glinie wyraźny odcisk dużego ciężaru żelaznego z pierścieniem.

— Łotry! — ryknął Konrad.

Górnicy otoczyli go kołem, klnąc się na wszystkie świętości, że są niewinni.

— Ktoby tam was posądzał?... ani na myśl mi nie przyszło!... Nie! wiem kto to zrobił... ci właśnie, którym na tem zależało, aby nafta nie wytrysnęła do 15-go Maja!

Ogólne powstało zamieszanie. Wśród krzyków i złorzeczeń na karczmarza, dały się słyszeć i przekleństwa i groźby przeciwko adwokatowi:

— Gałgany! chcieli zabrać Beli całą chudobę, a jaśnie panu zrobić na przekór! To oni w nocy wrzucili centnar do studni!

Konrad chodził, jak nieprzytomny, błądliwy i z zacisniętymi zębami; ci nędznicy dobrze obliczyli, że wydobyte ciężaru na sposób zwyczajnie używany, zajmie najmniej pięć do sześciu dni, a tu do 15-go już tylko 48 godzin! Wszystkie jego plany zawiedzione, sława stracona. Będzie musiał znosić drwinki przeciwników i ich klamane ubolewania, a nadto ciągle wyrzuty ojca. I tryumf ten, na który liczył, aby szczęście całego życia sobie zapewnić, wszystko to zmarniało na zawsze!... Krew w żyłach mu kipiała. Co teraz począć? W gorączce łamał sobie głowę; czy dozwolić, aby korzystaliby ze swej zbrodni? czy ich zaskarżyć i oddać w ręce prawa? Do tego trzeboby świadków i dowodów; zresztą zawsze będzie czas wytoczyć proces kryminalny. W tej chwili najważniejszą rzeczą: uratować gospodarstwo Piotra; jedyną na to sposob, niezwłocznie spłacić

wody na rozentuzyzowanych ugodowców z Królestwa, pisząc w te słowa:

»Tyle korespondent »Zasnu«. Wszystko to bardzo pięknie i dobrze, ale trzeba się także liczyć z możnością, że nowy kurs polsko-ugodowy, może się zahamować lub całkiem skończyć.

Dziś wprawdzie jeszcze kurs ugodowy trwa w Królestwie, ale pamiętać należy i o tem, co ks. Imeretyński powiedział na przyjęciu w Kaliszu, »że nic nie obiecuje«. To znaczące słowo powinno być więcej zwrócić na siebie uwagę naszych polityków myślących.

Zatem radzilibyśmy, jak od samego początku, tak i dziś tem więcej słuchać świeżo powtórzonych rady naszego korespondenta warszawskiego, żeby w niczem „nie przesadzać“.

Te słowa: *Nie przesadzać!* powinniśmy sobie wszyscy wzięść niejako za maksymę, któraby nas wyprowadziła z matni politycznych niekonsekwencji. Lecz jak wszelką inną maksymę, tak też i te trafne słowa można spaczyć, pozbawić właściwego ducha, stępić myśl w nich zawartą. Najlepszym tego przykładem jest artykuł, pomieszczony we lwowskim „Przeглядzie“, a noszący w nagłówku tytuł: *Byle nie przesadzić!*

»Dnia 1 sierpnia zbiera się w Cieszynie wiec polski, mający się zastanowić nad sprawą cieszyńskiego gimnazjum polskiego. Z powodu tego wieceju jedno z pism krakowskich proponuje zwołanie kongresu słowiańskiego do Krakowa, motywuje zaś swój projekt w sposób następujący: »My Słowianie stanowimy większość w Austrii, więc nie Niemcy, ale my prawa dyktować winniśmy. Skupmy przeto razem nasze siły, a niezawodnie zwyciężymy w Austrii wroga niemieckiego, wspólnego wroga wszystkich Słowian i t. d.«

Owóż zwrócić tu należy uwagę tych słowiańskich patryotów na okoliczność, że Niemcy swoją niepolityczną agitacją, awanturami, jakie urządzają w państwie, zachowaniem się swoim w parlamencie, niewstrzemięźliwością swojej prasy, skompromitowali siebie ogromnie tak w obec cesarza i dynastji jako też w obec dworu berlińskiego, i że nie potrafiłszy ich lepiej zrehabilitować w obec tych przemożnych czynników, jak naśladując ich w niewstrzemięźliwości, urządzając hałaśliwe kongresy, wiece, zjazdy, prawiąc duby smalone o tem, komu przystoi dyktować prawa i t. d. Jeżeli chcemy dobić Niemców i na długie lata odsunąć ich od tego, aby w Austrii prawa dyktowali, to zachowajmy się z taktem, nie urządzajmy żadnych demonstracji, jeżeli zaś chcemy doprowadzić do tego, aby wszystkie przewinienia Niemców zostały im przebaczone i aby znowu wrócili oni do łaski i znaczenia, to zacznijmy prawić o jakiejś wspólności słowiańskiej, o pokrewieństwie bliskim z innymi słowiańskimi ludami, o wspólnej idei słowiańskiej, która jest absurdem.

Poprzestańmy na przytoczeniu powyższego urywka. Nie chcemy nużyć czytelnika dalszym ciągiem podobnych objawów politycznej myśli, zapytamy tylko nawiasem, czy ogłaszanie ruchu wszechsłowiańskiego w Austrii, czy tak poważne i taktożne objawy dążeń i świadomości narowej, jak wiec w Cieszynie — zasługują na to aby, je stawiać w jednej linii z demonstracjami krzykaczy niemieckich? Czy to nie przesada? — Czy rzetelne objawy ducha narodowego i obudzenie się prostego ludu to demonstracja, godna zestawienia z wybrykami szowinistów niemieckich?

Dotknęliśmy tu kwestji szowinizmu i zaślepienia narodowego. Mamy przed

sobą dwie nowe a wybitne jego próbki. „Die Ostmark“ znany kwiatek, wyrosły na niwie czarno-białego patryotyizmu hakatystów dopuszcza się takich np. wybryków, które notujemy za „Dziennikiem Kujawskim“:

»Autor artykułu twierdzi, iż ruchy w 48 i 63 skierowane były przeciwko Prusakom i że dotychczas wyraz »Niemiec« oznacza w polskim języku wyzwisko! Artykuł ten »Ostmark« kończy się jadowitą wycieczką przeciwko naszemu Duchowieństwu jako siewcy »nienawiści i niezgody«, poczem w ostatnich zdaniach podjudza autor masy niemieckie do gwałtów przeciwko Polakom jak następuje:

»Przywódcy polscy powinni pamiętać, że tak wielki potężny naród jak niemiecki nie wyda bez walki na życie i śmierć dzielnicy, zdobytej dla kultury milionami pruskich pieniędzy i niepomierną pilnością i niewypowiedzianymi mozolami. Kto we walce tej ulegnie, nie trudno odgadnąć. Dla tego wystrzegać się powinni Polacy drażnienia narodu niemieckiego. Cierpliwość jego jest wielką, gdy atoli się wyczerpie, wtedy poczują Polacy bardzo dotkliwie potężne razy niemieckiego Michałka.«

Innymi słowy: chłopcy-kolonijści, Michałki niemieckie, miejcie na pogotowiu wasze kłonicie! W ten to sposób wolno bezkarnie szcuć na Polaków, cieszących się niby tak czułą »opieką« i żyjących »dobrodziejstw« pruskich!«

A oto próbka druga zaczerpnięta nie z teorii, lecz prosto z życia.

„Nowa Reforma“ pisze:

»Grono słuchaczy chemii na politechnice lwowskiej miało się wybrać obecnie pod przewodnictwem prof. Pawlewskiego na wycieczkę naukową. W tym roku jest w programie zwiedzenie fabryk przetworów chemicznych w obrębie Czech. Kierownik wy-

żyda. Za kilka dni łatwą będzie rzeczą znaleźć pożyczkę, ale dziś... musiałby prosić żonę, aby weksel podpisała. Na tę myśl, krew mu uderzyła do głowy. Nie, nigdy się tak nie upokorzy po tem, co zaszło pomiędzy nimi!

Oslupiali robotnicy otaczali studnię, spoglądając w stronę szopy, gdzie leżała nowusienka pompa, świeże beczki i kadzie; wszystko to zdawało im teraz urągac. Konrad w zamyśleniu zatrzymał się nareszcie i pochylił się nad otworem. Na jego rozkaz, studni dano szerszy otwór niż było w zwyczaju po innych kopalniach; mierzyła więc łokieć średnicy, a ściany były umocnione rurami blaszanymi. „Odważny człowiek by przeszedł,“ pomyślał i w okamgnieniu powziął postanowienie.

— Spuszczę się sam i ciężar wydobędę — zawołał głosem rozkazu.

Okrzyk zgrozy mu odpowiedział:

— Nie! nie! jasnie panie! to być nie może! na miłość Boską, nie róbcie tego... co innego spuścić się w dużą studnię, jak je dawniej kopano; ale w ten wązki otwór, toć pewna śmierć!...

Uśmiech bolesny, w którym można było wyczytać zniechęcenie do życia i obojętność na niebezpieczeństwo, przesunął mu się po twarzy. Cóż mu po życiu, kiedy szczęścia w nim nie znalazł.

— Powiedziałem, że zejde — odrzekł dobitnie. — Ani słowa więcej!... niech każdy słucha!... Iwasiu, leć do kuźni i przynieś sztabę żelazną zagiętą w hak na jednym końcu... Wy przynieście powrozy...

Gdzie jest manierka z wódką?... Dawajcie mój płaszcz gumowy...

Wydawał rozkazy wśród ogólnego milczenia, które przerywały jedynie ciężkie westchnienia robotników, do karności przywykłych.

W tem Piotr Bela rzucił się panu do nóg i zawołał błagająco, w nadziei, że go powstrzyma:

— Co powie „panna Micia...“ jasnie panie?

Słodkie imię, wypowiedziane przez usta poczciwego człowieka w tej chwili uroczystej, dziwnie ujęło Konrada. Spojrzał na Belę, chciał go zatrzymać... lecz ten już pędził ku folwarkowi.

— Dobrze! może lepiej i tak! — szepnął smutno.

XXIX.

Młoda pani Michalina właśnie była ukończyła przegląd swego gospodarstwa, wyszła do sadu i roztargniona chodziła pomiędzy pierwiosnkami i złotemi kluczykami. Niebo było przezrocyste, powietrze wonią przepelnione; świegot ptaszak ścielących gniazdzka, przerywał tę ciszę.

Biedna Micia! serce jej było pełne łez. Wiosna pełna życia i odradzająca się w świeżości i blasku raniła ją.

Usiadła pod żywym płotem z głogu, który otaczał pole kukurydzy i długo przypatrywała się wijącemu się strumykowi, który u stóp łączki w promieniach słońca w opalowych się mienił blaskach.

Szelest z drugiej strony drogi obu-

dził ją z zamyślenia i ujrzała pomiędzy drzewami małą Kasję gęsiarkę i Jankę skotarka, opartych o kołowrot. Dzieci trzymały się za ręce podskakując niezgrabnie. Dziewczątka cokolwiek śmielsze zapytało:

— Janku! czy chcesz mnie pocałować?

Chłopiec zawstydzony, poczerwieniał i spuszczać głowę mruknął:

— A ty co?

— Ja cię pocałuję — odrzekła śmiało i przycisnęła koralowe usta do opalonej twarzy pastuszka.

Serce Mici się ścisnęło: „Takie dzieci, a już się kochają... a my!... szepnęła i powstała gwałtownie, aby żal swój ukryć w gestej głębinie pobliskiego zagajenia. Lecz od smutnych myśli oderwała ją jeszcze raz niezwykła wrzawa połączonych głosów i poznała na drodze Piotra Belę, gospodarza biegnącego ku niej z całych sił, a za nim Tarasia zadyszana i blada, która nie wiedzieć z kąd tego dnia w Malopolu się znalazła.

— Jasnie pani... na miłość Boską!... ady do studni! bo będzie nieszczęście!...

— Nieszczęście!... jakie?... gdzie?... tam?...

I nie pytając więcej, puściła się ku kopalni; za nią dążyli wieśniacy, przerywanymi wyrazami opowiadając co zaszło.

Konrad oczekiwał jej, oparty plecami o jodłę, niecierpliwie spoglądając w stronę dworu; spostrzegłszy żonę, zadrgnął i postąpił ku niej kilka kroków. Dążyła ku niemu blada, jak śmierć. Co mówią ci ludzie? Co to wszystko znaczy?...

cieczki, jak nakazuje przyzwyczajenie zwrócił się przed wyjazdem do zarządów fabryk z prośbą o pozwolenie zwiedzenia tych zakładów przez techników polskich. Oto większa część fabryk odpowiedziała już na ową prośbę, a rezultat jest taki, że wszystkie fabryki czeskie z największą uprzejmością zgodziły się na propozycję, a natomiast wszystkie fabryki niemieckie wprost jej odmówiły. Czy to nie jest nowa świetna ilustracja tych »cywilizatorów«, którzy jad nienawisci szczepowej wnoszą ze sobą wszędzie, nawet tam, gdzie się rozchodzi o przedmiot tak daleki od polityki, jak chemia.

Dwie bardzo ważne sprawy poruszył w ostatnim czasie „Dziennik Berliński“.

Jedna z kwestyi omawianych dotyczy specjalnie zadania rodaków na obczyźnie i wychodzi z umotywowanej faktami zasady, że nie tyle z szowinizmem niemieckim, co z nieznaną sprawą polskiej wśród Niemców — powinniśmy walczyć i starać się uprzytomniać prawa nasze jako narodu.

„Dziennik Berliński“ pisze:

»Nasza gromadka tutaj składa się z ludzi rozmaitego stanu, pochodzenia i wykształcenia; a wskutek tego, że zajmujemy miejsce w najrozmaitszych działach pracy społecznej, mamy styczność ze wszystkimi klasami społeczeństwa niemieckiego i styczność tę zużytkować powinniśmy w interesie naszej narodowości w ten sposób, aby pośród Niemców starać się szerzyć wiadomości dotyczące nas, naszej przeszłości i naszych zasług wobec cywilizacji. Dziś nietylko niewykształceni, ale nawet inteligentne osoby pochodzenia niemieckiego, mówią w swej nieświadomości np. o Królestwie najspokojniej tak, jak gdyby ono leżało gdzieś w głębi Rosyi, a przed wiekami może zaludnione było przez zaginiony

dzis szczep polski. Zdanie to podtrzymują jeszcze np. wojażerowie Niemcy, którzy wnosząc powierzechnie z kolei, z porządkami na dworcach, ze stosunków z władzami — sądzą, że nawet język polski spotkać można w Królestwie chyba tylko wypadkowo. To samo myślą i o innych polskich dziełach.

Przypominam sobie, że z ust inteligentnego Niemca słyszałem pytanie, „czy prosty lud u nas mówi po polsku?“

Chodzi o to, aby szerzyć słowem przekonanie, że my nie jesteśmy jakimś bliskim wymarciem plemieniem, lecz narodem, który ma prawo do bytu i ten byt swój przed światem obronić potrafi.

Oto — zdaniem mojem — zadanie które mamy przed sobą my, Polacy na obczyźnie! Niechaj nikt z nas nie zapomina, że te kilka drobnych słów, które rzuci o naszym narodzie w rozmowie z Niemcami, przyczynić się mogą i przyczynią do uznania w nas uprawnionego do bytu i samodzielności narodu. To co o nas Niemcy wiedzą, ogranicza się głównie na ten, że — „*Polen trinken feste*“ a to jest smutne, bardzo smutne!»

Jak powyżej przytoczony ustęp dowodzi nie waha się „Dziennik Berliński“ powiedzieć gorzkiej prawdy w oczy swoim. Tę samą bezstronność zauważyć można i w drugiej sprawie. W artykule, omawiającym dzieje ruchu ludowego w Poznaniu, pisze „Dziennik Berliński“:

»Z chwilą gdy stosunki się zmieniły a dawny porządek — ustąpił miejsca wywieszając białą flagę w postaci deklaracji posła Komierowskiego — cel ruchu ludowego został osiągnięty.

Leży to w zwykłym porządku rzeczy, że działalność stronnictw politycznych zamiera z chwilą, gdy ich cel osiągnięty —

i to niebezpieczeństwo zagraża dziś ruchowi ludowemu.

Z chwilą gdy rozbitą została armia stronników dawnego porządku rzeczy, dziś stosunki istniejące inne cele stawiają ruchowi ludowemu.

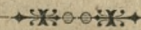
Musi on już program swój zmienić i porzucić ostrzeliwanie stronnictwa ugodowego, które podobne już jest dziś do podziurawionej tarczy, w której trudno zauważyć ślady nawet armatnich strzałów. Stronnictwo to i pokrewne mu dążenia na długo zstąpiły już w krainę Styksu.

Dziś ruch ludowy na innych podstawach oprócz musi swe dążenia, jeśli ma istnieć dalej.

Nie myślę się zapewne, sądząc, że nowych podstaw tych szukać powinien w dziedzinie ekonomiczno-społecznej i pracować pod hasłem gromadzenia i organizowania sił naszych na polu ekonomicznym.

W tych kilku krótkich słowach zaznaczył „Dziennik Berliński“ konieczność zorganizowanej pracy społecznej i ruchowi ludowemu zakreślił jako pole tej pracy — gromadzenie sił naszych ekonomicznych, wyznając jednocześnie, że obecne hasła ruchu ludowego przeżyły się i nie odpowiadają potrzebom chwili.

Otwarcie przyznając to, „Dziennik Berliński“, pismo o kierunku ludowym, dowiódł, że ruch ludowy się u nas nie przeżył i że zawiera w sobie siły zdolne skierować go na coraz to nowe tory i rozszerzyć zakres jego działalności na nowe obszary, ku pożytkowi społeczeństwa.



Patrz w przyszłość!

Naród jeśli przyszłość swoją
Ustawicznie ma na względzie,
Wie co w chwili czynić ma.

Konrad, jej Konrad jedyny ma umrzeć?... Ależ to być nie może! Ona go przecież zawsze kocha!... Mniejsza o Helenę i jej słowa jadowite! Kocha go, kocha, więcej niż kogokolwiek na ziemi! Czuje, że postradałyby zmysły, gdyby go stracić miała!

— Konradzie! na wszystko cię błagam, nie spuszczać się do studni... gazy cię zabiją, sznur może się zerwać... proszę cię Konradzie? — wołała błagalnie, chwytając go za ubranie i nie chcąc go puścić.

Obejrzał się na nią zdziwiony, nie wiedząc czemu przypisać okazaną naraz czułość. Przecież miłość dawno między nimi zagasła! Zimny jego wyraz twarzy zmroził ją i słowa zamarły na jej ustach. On odwrócił się do wiertaczy i rozkazał głosem surowym:

— Gdy na powietrze powrócę, cokolwiekby miało nastąpić, będziecie dalej wiercić. Czy wszyscy słyszeli?

Sklonili głowy w milczeniu, a Piotr cały drżący podał mu płaszcz gumowy.

— Czy pręt żelazny już gotów — zapytał się jeszcze i łagodnie zwrócił się ku żonie, która przygnębiona nie mogąc wyrzec ani słowa, lkała cicho, patrząc na te przygotowania.

— Nie wystawiaj sobie, Miciu, abym się narażał na wiekie niebezpieczeństwo... Ci ludzie niepotrzebnie cię wystraszyli... W innych szybach spuszcza się górnicy na siedemdziesiąt metrów; tu, na stoku góry, studnia ma tylko 35 metrów głębokości... to żarty... Za chwilę powrócę,

Gdy skamieniała w swej strasznej obawie, nie była w stanie odpowiedzieć, Konradowi żal się zrobiło i rzekł cichym głosem wyciągając ku żonie ramiona:

— Uściskaj mnie Miciu, czy chcesz? Pogódźmy się!... Bóg mi świadkiem, że nic złego nie chciałem...

Wpadła mu z płaczem w objęcia i przytuliła się do jego piersi. Wszyscy górale mieli łzy w oczach i jego rozczulenie ogarnęło, lecz starał się otrząsnąć:

— Dalej, dalej! do roboty nie traćmy czasu! Chwył pręt żelazny, stanął na zagięty jego koniec i kazał się doń mocno przytwierdzić. Tarasia podała chustkę maczaną w spirytusie, którą do ust i nosa przyłożył, aby go gazy nie odurzyły; założył kapiszon na głowę i zawołał, że jest gotów.

Michalinka patrzyła błędem okiem: więc wszystko się skończyło... nie dał się przebłagać?... lecz gdy ujrzała, że go powoli do studni spuszcza, gdy już tylko twarz jego ukochaną poznać mogła w otworze, rzuciła się jak w obłędzie na krawędź, wołając przeraźliwie:

Konradzie! stój na miłość Boską!... to była wina Heleny... byłem zazdrosną!...

Podniósł głowę z uczuciem niewysławionej błogości i uśmiech promienny rozjaśnił mu oczy, w których miała jesze czas jego głęboką miłość wyczytać — potem wszystko znikło i górale otoczyli otwór, baczni na najłżejsze poruszenie liny.

Konrada wkrótce ogarnęło uczucie przejmującego zimna.

— Odwagi! — szepnął półgłosem.

Bo teraz już niechciał umierać: Micia go kocha i musi zwyciężyć!...

Gazy oddech mu tamowały; naraz uczył, że się dusi, kurczowo pręt ścisnął, a zębami rozdarł chustkę z okowitą, aby więcej nabyć powietrza.

Jeszcze jedno wysilenie i stanął na dnie. Lecz niestety, nie obrachował w gorączkowym pośpiechu, iż zabraknie mu miejsca, aby się nachylić i podnieść ciężar, który już czuł pod nogami. Wówczas wysiłkiem nadludzkim i walcząc ciągle z ogarniającym go odrętwieniem, gwałtownym poruszeniem haka zaczął go o pierścień ciężaru, a czując, że żyły coraz silniej mu tętnią i że już omdlewać poczyna, dał sznurem znak, aby go wydobyli i stracił przytomność.

— Za chwilę tu będzie, jaśnie pani! — pocieszali poczciwi wiertnicy rozpaczającą młodą mężatkę i nachyleni nad otworem śledzili powracającej postaci pana.

Ostrożnie bezwładnego odwiązali i położyli na murawie. U haku żelaznego wisiał ciężar złowrogi.

Micia rzuciła się na kolana obok męża i płaszcz mu rozerwała, dziko wołając:

— On nie żyje!

Lecz dwoje ludzi podniosło omdlałego i zaniósło do najbliższej chaty;

— Niema czasu do stracenia, trzeba go rozcierać i twarz wodą mu oblać.

Reszta robotników, posłuszna rozkazowi pana, rozpoczęła na nowo wiercenie.

(Dokończenie nastąpi.)

Przeszłość jest mu ową zbroją,
Aby nie trwał w dawnym błędzie,
Gdyż nie wróci przyszłość ta.

Tylko przyszłość niewątpliwie
I niechybnie nam zaświta,
Ale jaka, kto to wie?

Niech więc praca w naszej niwie
Zawre wspólna, jednolita.

Nam nie w błogim marzyć śnie.

Jako dzielnym my narodem
W niepowrotnej byli dobie,
Dziś na dzienny baczmy plon.
Nam z innymi wciąż iść przodem,
A nie ronić łzy na grobie;

Praca — życiem gnuśność — zgon.

Pokąd w narodowym gmachu
Nie jest wszystko wykończone,
Święćmy dla Ojczyzny znój;

Od podstawy aż do dachu
Każdy cegłę swą w tę stronę
Nieśmy z hasłem: „K' swemu swój!

Każdy tryumf zmudnej pracy
Święćmy godnie i ochoczo,
Niechaj nas podziwia świat;

Niechaj wie, że są Polacy,
Że do jarzma nas nie wtłoczą...

Zgoda z tym, kto nam jest brat.

Z. L.

Echa letnie.

(Oryginalna korespondencja „Pracy“.)

Zakopane.

Witajcie rodzinne Tatry
W szkarłatnej poranku gazie,
U stóp hymn grają wam wiatry,
A na wierzchołków oazie
W błękitnie niebios namiotu
Orzeł się wprawia do lotu.

Otrząsnawszy z pyłu poznańskiego
obuwie moje, podążyłem — chcąc odetchnąć

prawdziwie świeżem powietrzem gór ojczy-
stych — do Zakopanego, i nie żałuję
drogi, bo uroki tej perły tatrzańskiej, na
długo... długo pozostaną najmilszym wspo-
mnieniem w mej duszy.

Od czasu otworzenia kolei Karpackiej
zmieniły się wyprawy gości poznańskich
do zdrojowisk Tatr o tyle, że: wyjecha-
wszy przed południem około wpół do 10tej
z Poznania, przenocowawszy w Krakowie,
jest się nazajutrz około 7mej wieczorem
w Zakopanem, a z Krakowa pociągi są
tak urządzone, że wraz z dojazdem na
miejsce pobytu, wystarcza 11 godzin czasu.

W kierunku Zakopanego ostatnią stacy-
ją jest Chabówka, z kąd jeszcze 40 kilo-
metrów drogi końmi się przebywa i to
w ciągu 8ciu godzin, oprócz popasu w No-
wym Targu.

Za przejazd z Chabówki do Zakopa-
nego jednokonną budką płaci się 4 złp.,
dwukonną 7 złp. — mnie się szczęśliwie
dostało miejsce w karecie pocztowej,
na kozle, której królował pocztylion
pocztylion, ubrany w kaszkiet cesarsko-
królewskiego „urzędu poczt“ — ale reszta
ubrania, nie wyłączając skórzanych łapei,
była czysto rodzimą, góralską, gdyż z pod
serdaka o jaskrawych wzorzystych dese-
niach, wyglądała koszula zgrzebla o wą-
skich rękawach a spodnie góralskie obci-
słe, sukienne z czerwonym lampasem i
nieodstępna krótka fajeczka w zębach —
były zakończeniem tego prawdziwie malo-
wniczego stroju. Już od Obidowej (pierw-
sze większe wzgórze za Chabówką) maja-
czeją na horyzoncie olbrzymie kształty —
zarysy gór, jak chmur czarnych, u stropu,
jaśniejszych zmieszanych i skłębionych
chaotycznie. Coraz to bliżej i bliżej za-
rysowują się kontury skał; wózek pod
górze powoli się toczy, ces.-król. pocztylion

o serdaku i sandałach zeskakuje z kozła
i zachęca konie przeciągłem „wiść wiść“,
„hejt hejt“ do szybszego biegu. Minęliśmy
kilka wiosek tulących się do szmaragdo-
wych wzgórz, z dala biela się pierwsze
mury kamieniczki — to Nowy Targ —
popas i jedyne miasteczko po drodze z Cha-
bówki. Odpocząwszy tutaj w pobliskiej
gospodzie, gdzie mi kazano (zapewne dla
wypróbowania mej świętej cierpliwości)
czekać pół godziny na ogłoszone na kar-
cie „poziomki ze śmietanką“, podążyłem
do karetki, gdyż sygnał trąbki pocztarskiej
wołał, a mając nowe konie, podążyliśmy
ku Zakopanemu. W miarę zbliżania się
do Poronina, coraz wyraźniej widzę po-
szarpane boki gór, szczyty śniegiem bie-
leją, a biodra gór otaczają smugłę wy-
niosłe szmerek — jak ten kształtny lud
polski, który je zamieszkuje... Słońce w
majestatycznym blasku oświeca cudowną
panoramę, ozłaca boki gór, zagłada w
przepaściach, ślizga się po szczytach, śle
śniegiem pocałunek promieni, a woń balsa-
miczna świerków otaczających wzgórze
podtatrzańskie, — działa uzdrawiająco na
moje pyłem poznańskim przepelnione płuca
i tak mi lekko, swobodnie na duszy jak
nigdy przedtem! — Pocztylion ujrzawszy
ukochane góry, ujął za trąbkę i gra jakąś
melodyą rzewną, przerywaną namiętnym
krzykiem tonów, to znów zwracając się
ku konikom nawołuje ich do szybszego
biegu... „hej wiśta hej“... a konie parska-
jąc, rażno pną się znów pod jakąś górę,
do której przychepione chaty, wyglądają
z daleka jak gniazda jaskółek;... otóż i
widać Poronin, ostatnią wioskę przed Za-
kopanem, ztąd Tatry jak na dłoni, —
śnieg bieleje w szparach, a nagie, dzikie
i poszarpane skały stoją „by graniczny
słup zuchwale“. — Droga idzie wolno

Przedruk wzbroniony.

HANIA.

POWIEŚĆ EPICZNA

napisana przez A. Kąsinowskiego.

(Dokończenie).

VI.

Hania klęczy przed zmarłym, łez pełne oczęta
Twarz smutkiem powleczone, złożone ręczęta,
Patrzy bolesnym wzrokiem, gdzieś tam het — przed siebie
Nie widzi „jego“ myślą pewno z starcem — w niebie!
Wtem spojrzy... i jej oczy z oczami hrabiego
Się łączą... krzyk radości! chce biec do niego...
Uśmiech szczęścia na bladej twarzyczce zabłyśnie.
Jak słonko, które z za chmur jasnym światłem błysnie.
Wtem zadrzy... widzi przy „nim“ uroczą dziewczica
Słyszy.. mówi doń „mężu“

Naraz Hani lica

Zbladły — jak chusty płótno — woła: „gdzieś jedyny
„To nie „on“ to sen przykry... nie zdradził dziewczyny!
Przysięgał..! ta kobieta!“ i śmiech przeraźliwy
Rozległ się, aż do duszy przenikł... oj straszliwy
Był śmiech tej obłąkanej, tyle skarg boleści
Na młodość zmarnowaną, w tym się śmiechu mieści.
Więc pierzchnął sen jej złoty! więc jej miłość święta
Jej życie... cześć... dlań za nic! czyż jej nie pamięta?
Zdradził biedną kochankę!

Z rozwianemi włosy

Wybiepa z komnat Hania, otrzępuje z rosy
Kielichy kwiatów, bieży przez grzędy, zagony,
Po drodze zrywa kwiatki i robi korony
Z bławatków, tak jak dawniej... gdy szczęśliwą była.
Idąc już i za sobą wioskę zostawiła
I kościółek z dzwonnica, co drzemie w dolinie.
Cisza... tylko smutnego odgłos dźwięku płynie

Z organów, co brzmią śmierci melodyą grobową.
W kościółku kapłan głosi pełne pochwał słowo
Dla zmarłego. — Nad wodą, w krzaku czeremchowym
Gdzieś słowik skryty piosnkę wywodzi, w brzozowym
Lasku wróble świergotem chcą śpiew jego stłumić.
Hania biegnie, nie słyszy nic, ani zrozumieć
Nie może, co za siła gna ją tak daleko!
Znów uszła kawał.

W dali — widna już nad rzeką
Góra z basztą, — u której stóp Noteć się toczy.
Hania wyciąga szyję i swe błędne oczy
Niebieskie — nie jak dawniej, lecz martwe uśpione
Zwróci w punkt jeden — w jedną patrzy tylko stronę.
Usteczka blade szepcą o zmarłym, o wieży...
O Jerzym co tam śpiewa... On tam... Hania bieży
Ku baszcie..., nie... to duchy —

„Luby, jam twa żona
„Nie tamta... toć ci w zamku byłam poślubiona!
„Noc była piękna... jasna... woda wre... on śpiewa...
„Drogi, pożegnaj Hanię — ona się nie gniewa,
„Już na cię, ona nawet błogosławiłi tobie
„Za chwilę szczęścia, lekko spać mi będzie... w grobie...
„Hania się do cię tuli... ciebie czeka... kocha!..
Oczy jej szkła matawo; nareszcie zasłocha
Głośno — biegnąc ku rzecze... Fale posrebrzone
Ciągną ją smugą światła, pokazują stronę
Najponętniejszą dla jej oka — co tak płacze...
Hania śmiejąc się do fal, pochyła się... skacze...
W największą głębią; chwilę jej sukienka biała
Ze srebrnymi falami i z wirem igrała,
Aż nakoniec raz jeszcze złocistą obrączkę
Hrabiego z wody widać. aż śnieżystą rączkę
Wir pochłania... i tylko wianuszek zielony
Jakby ślubny... i trochę bławatków z korony
Trochę baniek — zaświadcza, że tu Hania leży...
I znów cicho... znów Noteć z szumem dalej bieży.

pod górę, pagórki pokryte świerkami a na ich stokach pola pocięte w szachownicę zielenieją owsem niedojrzałym, lub czerwieńszą koniczyną, a wszystko takie świeże, soczyste, zielone; to ozon życiodajny, nietylko rośliny żywi, ale i na płuca działa wprost cudownie — a na cały organizm orzeźwiająco. Przybliżamy się nareszcie do wsi rozrzuconej w dolinie — pełno domów i will wykwintnych o pochyłych płaszczyznach dachu, o wyniosłych szczytach zdobnych w balkony, galeryjki, zakończonych „pazdurem“; to styl tak zwany „zakopański“. Mając już zamówione mieszkanie w willi Dr. Piaseckiego, kazałem się wieść tamże pocztalionowi i zachwycony jestem moim wyborem bo „Klemensówka“ jest nietylko ostatnim wyrazem komfortu, ale nadto obok przewybornej i obfitej kuchni, mogącej zadowolić podniebienia najwybredniejszych smakoszków, doznaje kaźden z gości nad wyraz serdecznej opieki i pełnego życzliwości — obejścia, od Dyrektora Zakładu p. Dr. Winc. Piaseckiego i syna jego, pierwszego asystenta Zakładu, oraz całej rodziny państwa Piaseckich. Czas schodzi nam na pełnych uroku wycieczkach w bliższe okolice Tatr, a gdy deszcz pada wielka sala zakładu gromadzi gości żądnych muzyki i śpiewu, i nieraz wesoly i dziarski mazur zabrzmiał, przez którąkolwiek z pań odegrany, lub walc sentymentalny, a bogata biblioteka i czytelnia dostarczają pokarmu duchowego.

Mieliśmy tutaj koncert chóru akademickiego z Krakowa, program był nader urozmaicony, podobały się powszechnie Gulla „śpiew leśny“, Sorrentina Moniuszki, „Dumka“, oraz „Pieśni ludowe“ Noskowskiego z brawurą i ogniem odśpiewane. Po koncercie tańczono ochoczo prawie do rana.

Dnia 22 lipca p. Stanisław Konopka, znany i u nas w Poznaniu recytator i dyrektor „szkoły dramaturgii“ we Lwowie, deklamował kilka ustępów z „Mickiewicza“ jak: Improwizacją „III części Dziadów“ „Muzykę Jankiela“ i inne.

Dzisiaj, tj. 24go daje Fiszer wieczór humorystyczny. — 25 go loterya fantowa w „parku Kassyna“, potem zabawa. — 27-go daje koncert p. Floriański, śpiewak z „Opery Narodowej“ w Pradze, z współudziałem panny Leszczyńskiej. — 30 go zaś sławny nas skrzypek Barcewicz będzie zachwycał wszystkich obecnych swoją grą niezrównaną. — W sierpniu przyjeżdża Towarzystwo śpiewackie „Echo“ ze Lwowa — widzicie więc, że dosyć mamy duchowego-artystycznego pokarmu w tak ponętnej formie: jak muzyka, śpiew i deklamacja — podawanego nam.

Zakopane w tym roku nie przedstawia przeszłorocznego kontyngensu gości o te czasy; liczba bowiem nie dosięga 2000, kiedy blisko 3000 było rok temu, przyczyną są podobno zesłoroczne deszcze, które zniechęciły publiczność do liczniejszego przyjazdu. Robię tutaj częste wycieczki, w których, niestrudzonym towarzyszem jest mi ksiądz Lany, dyrektor „Zakładu Naukowego Imienia Lubomirskich w Krakowie“; razem odbyliśmy wycieczki: na Gabałówkę, Kuźnice, Strążyńska, nawet byliśmy na Węgrzech w Szemskie, Białej, gdzie są sławne na całą Europę grotty stalaktytowe, dalej w Dybischau, gdzie podziwialiśmy cuda natury, olbrzymie grotty, lodowe wodospady, słupy, je-

dnem słowem góry z lodu o średnicy 60 metrów w najgłębszym miejscu!... Opisać godnie tych cudów przyrody, żadne pióro nie jest w stanie! Jak za dotknięciem różeczki czarodziejskiej, na raz znajduję się zdumiony widzę w grocie, której strop błyszczy miliardami dyamentów: to kryształy lodowe w elektrycznym świetle tak błyszczą, tak mienia się i olśniewają! — Nieraz kiedy po powrocie z wycieczki goszczę w pokoju czcigodnego ks. dyrektora, podziwiamy wtedy razem te cuda natury, te góry wspaniałe widne z balkonu, ten Giewont, oblany blaskiem zachodzącego słońca, lub osrebrzony błędem światłem księżyca, a wtedy Giewont wydaje się skamieniałym olbrzymem, śpiącym snem wiecznym i okrytym świerków całunem, ale księżyc zachodzi po za chmury czarne poszarpane, kłębią się one w olbrzymie wały — i zakrywają skamieniałego olbrzyma wiekiem szarem z mgieł lub deszczów, które tutaj często padają. Kiedy piszę te słowa, słonko długo upagnione, wyjrzało z chmur, a Giewontu skalna ściana oblała się blaskami jego, białe chmurki na jego granitowym czole rwą się w strzępy, rozplywają w błękitcie, odsłaniając pełne zieleni podnóża Tatr... i oko moje błądzi przez otwarte okno na te sine szczyty i kąpie się w przestworzu... a pierś oddycha swobodnie... ale czas zakończyć moją pogadankę; pogoda to magiczne słowo w Zakopanem, to hasło wołające na szczyty! — a więc „Hej za mną w Tatry, w ziemię czarów!“

Na strome szczyty gór,
Okiem rozbijem dół obszarów,
Czołami — sięgniem chmur,
Ponad przepaście — nasza droga,
Odważnie bracie mój!
Od ludzi dalej — bliżej Boga...
Ha już jesteśmy — stój!

A. Kasimowski,

● gazetach.

Rzecz

wyłoszona na wiecu w Bruch w Westfalii
przez *Witolda Leitgebra.*

(Ciąg dalszy.)

Oczywista rzecz, że do pisania artykułów mających cel powyższy, potrzeba ludzi nietylko wprawnych w piórze t. j. posiadających dar jasno i dobitnie, a przytem zajmująco myśli swoje wyrażać oraz w innych je zaszczać, ale co równie ważnem, a przytem koniecznem jest, ludzi wytrawnych, posiadających własną przetwarzoną i uzasadnioną opinię, przygotowanych należycie do traktowania danego przedmiotu, do samodzielnego pracowania mózgiem. Dziennikarze, którzy tym warunkom mają odpowiedzieć, a którzy jeżeli wspomniane kwalifikacje posiadają, są poszukiwani, bo ich mało, żądają — rzecz naturalną — odpowiedniej zapłaty za swoją umiejętną pracę. Tym lepszych przeto redakcja może posieść współpracowników, im lepiej opłacić ich t. j. prace ich wynagrodzić jest w stanie. Nizko płaćcy wydawcy muszą korzystać z sił literackich, nie będących, że tak powiem żadnymi „siłami“, nie mogących mieć pretensyi do większych wymagań pieniężnych, z ludzi początkujących w zawodzie dziennikarskim, albo bez głębszych wiadomości i szerszego

widnokrepu zapatrywania, ludzi traktujących nieraz najbliższemu czytającemu ogółowi stosunki powierzchownie, po dyletancku, bo brak im znajomości faktów stanowiących jądro rzeczy, niezbędnych od wyrobienia sobie gruntownych pojęć i trzeźwej opinii, przez co tłumaczy się ich chwiejność w postępowaniu, ich rażąca często naiwność. Redakcyje bez większych zasobów materialnych rekrutują często owych współpracowników z ludzi czerpiących swoje widzimisię z obcej prasy nieoględnie wybranej, zestawiających swoje horoskopy polityczne według obcych biuletynów, powtarzających rzeczy przez innych nietylko już, ale lepiej wygłoszone, przez co nużą i nudzą czytelnika, przeżuujących cudze poglądy, dzielących nieswoje myśli, wyrobników literackich, mierzących swą pracę na wiersze, albo grafomanów piszących dla samego mechanizmu pisania. Oczywista rzecz, że dobra chęć wydawcy nie zawsze idzie w parze z materialną możliwością jego angażowania jeżeli nie pierwszorzędnych, to chociażby tylko doświadczonych i światłych pisarzy i społeczeństwo powinno tu danemu wydawnictwu przyjść z pomocą, popierając je regularnym abonementem i agitacją wśród znajomych do podobnego poparcia*).

Im pismo jakie większą cieszy się liczbą abonentów — nietylko czytelników, chociaż jedno z drugim idzie zwykle w parze — im większe ma dochody i zyski, tem też lepiej może płacić swych współpracowników, tem lepszy dobór ich uskutecznić i tem też skuteczniej działać na korzyść swego społeczeństwa. *Zadaniem społeczeństwa, we własnym jego interesie, jest zatem popierać gazety!*

Grosz na pismo wydany, nie jest wyrzucony, bo czytelnik wielorakie, a stosunkowo za tanie pieniądze odnosi z czytania korzyści. Dla nas, żyjących na obczyźnie, mają gazety to zwłaszcza doniosłe znaczenie, że kto pilnie czytuje pisma polskie, ten nie zapomni języka ojczystego. Kto je uważnie czytuje, ten pozna jaki skarb wyrazów i wyrażeń jednych i dobitnych, czysto-polskich, mowa nasza posiada, ten ją pokocha. zrośnie się z nią i nie będzie słowami niemieckimi — co nas najbardziej razić powinno — przepłatać swęj mowy lub na wyrażanie swych myśli używać całych określeń niemieckich, będących właśnie w modzie ulotnych słów, mających swoje źródło w dowcipie niemieckim z duchem naszego społeczeństwa niepokrewnym.

A jak nam staranie o zachowanie czystości języka macierzystego potrzebne, na to dowodem Polacy żyjący na obczyźnie. Kto w głębi Niemiec przysłuchiwał się rozmowie Polaków, tego niezwykle niemile razić nieraz musiało, gdy usłyszał jak lud nasz np. na parowiec mówi „szyfa“, zamiast czytać „leżować“, na policyanta „szucman“, zamiast tak „ja“ itd. Aż strach pomyśleć jakie skutki za sobą pociągnie taka poniewierka naszej ślicznej mowy polskiej i to przez nas samych i wstret człowieka bierze, słysząc to skażenie języka ojczystego, a widząc przytem tak mało usiłowania, żeby zło naprawić. Jeżeli w tak zastraszający sposób lud nasz na obczyźnie nadal postępować będzie i w słowniku swoim wyrażenia polskie zastępować będzie dzikiemi, na niemieckie kopy-

Myśl tę szczególniejszej uwadze polecamy życzliwym Czytelnikom „Pracy“. (Przyp. Red.)

to ukutemi „wortami“, to z czasem Polak Polaka po polsku nie zrozumie.

Prawda, że w latach popowstaniowych, w okresie upadku naszego literackiego, język nasz zaniedbany został i zubożał, a myśl nasza wyjałowiała, że oczywiście i w gazetach wówczas dużo popełniono błędów gramatycznych i skażeń językowych. Pospieszna w redakcyach praca wytworzyła urodzaj na najwstrętniejsze dziwolągi i namnożyła setkami wyrazy i zwroty niemożliwe. Z pomocą w tej sprawie psucia naszej mowy pospieszyła literatura powieściowa, a nawet naukowa, której nowi przedstawiciele, słabe tylko mieli często pojęcie o zasadach języka ojczystego.

Gdy w szkołach dawniej polskich, naukę języka polskiego ograniczono do minimum, gdy wpływ niemieczyny począł brać górę, a gwara prowincjonalna zaczęła się panoszyć, bo gramatyki mało kto się uczył, a starzy, klasyczni pisarze wyszli z mody i poszli w odstawkę, gdy na polu piśmienictwa harce zaczęli wyprawiać Polacy z francuziali, podniemczeni i podruszczeni, obok nich całe zastępy literatów i dziennikarzy pochodzenia żydowskiego, posiadających często talent, ale niezmiernie rzadko rozumiejących ducha języka, którym pisali, gdy wreszcie cała rzesza kobiet załapała łamy pism drobnostkami literackimi odbierając mowie naszej siłę męzką i dźwięczność, a prasa ta skażenia i błędy językowe, jak fala coraz dalej niosła, sama nowe wytwarzając miazmaty i podmywając mające swą przeszłość historyczną filary naszej mowy — wtenczas oczywiście można było ręce załamać, a zgrzyt zwątpienia mógł się nam wyrwać z piersi.

Ale czasy te mijają, lub nawet już minęły, mowa nasza odzyskała dawną swoją jedrność i wyrazistość, a literatura swojska, wyrosła z życia narodowo-społecznego, bogata w pierwiastki samoistne i oryginalne, w myśli i uczucia świeże, taki odzyskała powab, że z rozkoszą znowu wchłaniać możemy dźwięki naszego języka; z radością odczuwać istic polską budowę zdań, poić się męzką siłą wysłowienia pod względem artystycznym tak wykształconego, że niegodną robotą byłoby naśladowanie obcych lub przedmuchiwanie cudnych prądów na nasze niwy literackie.

Bądź co bądź jednak to poczucie nie przesiąknęło jeszcze wszystkie warstwy, a lud nasz w kierunku szlachetnej dumy, będącej wynikiem głęboko odczutej wartości i zrozumienia piękności języka polskiego zamało kształcony, zwłaszcza na obczyźnie, zbyt jeszcze obojętnie traktuje mowę ojczystą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Balonem do bieguna.

Najwspanialszą próbą zużytkowania balonu do wielkiego celu jest dokonane przed paru tygodniami przedsięwzięcie podróży do bieguna północnego na statku napowietrznym. Nazwiska odważnych żeglarzy szwedzkich: Andréego, Strindberga i Fränkla, bez względu na rezultat wyprawy, zostaną zapisane na kartach historii, jako prawdziwych bohaterów.

W czerwcu Andréego, wraz z towarzyszami Strindbergiem i Fränklem, udał się na okręcie „Däneninsel“ na ostatni północny kraniec Spitzbergu, gdzie w r.

z. zbudował wieżę, w której balon miał być napełniony gazem. Zastawszy na miejscu wszystko w porządku, oczekiwano znów parę tygodni na wiatr pomyślny. Nareszcie w początku lipca ustalił się prąd powietrza z południa na północ i Andréego postanowił skorzystać z tego, aby doprowadzić do skutku myśl swą zuchwałą.

Napełniono gazem balon, który w ciągu roku powiększono przez wżycie jedyne jeszcze pasa materii tak, że objętość jego wynosi obecnie 1,800 metrów sześciennych.

Do spiżarni — znajdującej się pod łódką, złożono narzędzia naukowe, broń, amunicję i zapasy odzieży urządziwszy tak owo dolne piętro, aby mogło służyć za sypialnię. Po nad pierścieniem, utrzymującym łódkę, umieszczono zapasy żywności i inne przedmioty potrzebne. Wzięto też z sobą gołębie pocztowe, aby z ich pomocą dawać znać światu ucywilizowanemu o przebiegu wyprawy. Dnia 11 lipca, w niedzielę, o godz. 2 m. 25 popołudniu trzej podróżnicy, pożegnawszy się uściśnieniem ręki z przyjaciółmi i korespondentami, odcięli liny, przytrzymujące balon i poszybowali w powietrze, rzucając ostatnie słowa: „W domu pozdrowienie Szwecyi!“

Zaraz po wzlocie balon trzy razy znalazł się w niebezpieczeństwie: wiatr poniósł go na skały, o które mógł się rozbić, ale prąd powietrza na szczęście w bok go nieco zwrócił. Następnie powiew południowo-wschodni rzucił go na morze tak silnie, że łódka na chwilę zanurzyła się w wodzie, a w końcu jeszcze raz groziło mu rozbitcie się o skały, których jednak uniknął, przeleciawszy zaledwie o parę metrów nad ich wierzchołkami. To nam daje niejaka miarę o niebezpieczeństwach, grozących Andréemu w dalszej podróży.

O godz. 3 osoby, zgromadzone na miejscu pożegnania, straciły balon z oczu i powróciły statkiem do Tromsø w wielkiem wzruszeniu, które spotęgowało się jeszcze tem, że w ostatniej chwili gdy balon już wznosił się w górę, w jakiś niewytłomaczony sposób odczepiły się od niego liny ciężarowe, które ów statek napowietrzny miały utrzymać w jednostajnej odległości od powierzchni ziemi. Na szczęście Andréego wziął podobno z sobą liny zapasowe.

Według obliczeń aeronauty, jego statek napowietrzny, nazwany „Orzeł“, powinien dokonać podróży najmniej w tydzień czasu, ale ten „tydzień“ może się rozciągnąć do kilku miesięcy. Wprawdzie balon ma wymiary potężne: wysokość jego wynosi 21½ metra, a napełnianie go gazem trwało 89 godzin, wszystko jednak nie rozprasza obaw, gdyż wiadomo, że dotąd żaden aeronauta nie przebywał w powietrzu dłużej nad dwie doby, a od chwili wzlotu upłynęły już cztery tygodnie, podczas których żaden gołąb, z liczby wziętych na balon, nie przyniósł wieści o losach wyprawy. Przypuszczają, że ptaki te w drodze, gdy odpoczywają zmęczone, łatwo mogą stać się łupem drapieżników podbiegunowych.

Wyprawę tę można nazwać przedsięwzięciem szalonym: droga do zrobienia wynosi w prostej linii 3,400 kilometrów, a ponieważ prądy powietrza są zmienne, więc prawdopodobna jej długość wzniesie

do 20 tys. kilom. albo i wyżej. Sam balon jest statkiem, na który niepodobna polegać w zupełności; jakkolwiek nieprzepuszczalną materię jedwabną pokryto grubym płótnem żaglowem, to jednak niepodobna zabezpieczyć się od jakiejś zdradliwej szparki, przez którą gaz może uciec w najmniej pożądaną chwilę i podróżnicy wówczas zostaną bezradni, zgubieni bez możliwości ratowania się. Może też zabraknąć im żywności, jakkolwiek, oprócz zapasów, wziętych na balon, w niektórych miejscowościach północnych przygotowano im składy specjalne; mogą jednak nie dojść do nich. Rządy: rosyjski i angielski postarały się o to, aby uprzędzić Samojedów i inne plemiona, mieszkające na krańcach łądów północnych, że może spaść na ich terytorium wielka bania z powietrza; ludy te jednak tak są zabobonne i nieucywilizowane, że i z tej strony podróżnikom grozi poważne niebezpieczeństwo. Następnie trzeba by niesłychanie szczęśliwych okoliczności, żeby prąd powietrza zaniósł balon wprost nad biegun północny, główny więc cel wyprawy zależy od przypadku, na który rachować niepodobna, tem bardziej że żagle, z których pomocą Andréego ma zamiar kierować swym balonem, prawdopodobnie nie na wiele się zdadzą. Wreszcie balon może przelecieć nad samym biegunem i nikt z podróżników tego nie zauważy, gdyż ściśle określenie punktu geograficznego, na którym w danej chwili aeronauci się znajdują, według prof. Bezolda i Bersona, jest niemożliwe do dokonania na balonie, zwłaszcza, że podczas nieustającego teraz dnia, obliczenia wyłącznie należy opierać na wysokości słońca, gdyż gwiazd wcale nie widać.

Tak więc prognozyki brzmią ponuro i Andréego niewątpliwie wiedział o tych wszystkich niebezpieczeństwach, a jednak nie zachwiało go to w raz powziętem postanowieniu; nie brak również i innych śmiałości, których biegun nęci. Dnia 25 lipca wyruszyła na okręcie z Anwerpii do bieguna południowego belgijska ekspedycja naukowa, złożona z kapitana Adriana de Gerlache, porucznika Daneo, geologa i oceanografa Arctowskiego — Polaka, Kanowitza — Rumuna, d-ra Lacaze-Duthiers i porucznika Lecointe. Francuzi znowu: Ludw. Godard i Surcouf, znani i doświadczeni aeronauci myślą o zbudowaniu potwornego balonu, 10 tys. metrów sześciennych objętości, na którym zamierzają śladem Anrée'go dotrzeć do bieguna północnego.

Pierwsza wiadomość, tycząca się wyprawy Andréego, brzmi bardzo ponuro: z Amsterdamu donoszą telegraficznie, że kapitan parowca holenderskiego „Dordrecht“ nadesłał z Grimsby do „Niue Rotterdamsche Courant“ następującą notatkę: „Dowiedziałem się o podróży Andréego dopiero po przybyciu tutaj. Na morzu Białem spostrzegłem jakiś przedmiot, ale nie mogłem określić jego natury. Nie mógł to być statek, ze względu na miękkość i ruchliwość. Zdechły wieloryb wydawałby nieprzyjemny zapach, gdy tymczasem nad tym przedmiotem krążyło zaledwie kilka ptaków. Sądzę więc, że przedmiot ten był resztkami balonu. Wiedziałem go d. 17 lipca rano pod 69° 38' szerokości północnej i 35° 34' długości wschodniej“. Nansen twierdzi, że przypuszczenie kapitana wzbudza wątpliwości.

gdyż trudno przypuścić, aby już po sześciu dniach balon znalazł się nad wodami morza Białego, tem bardziej, że wiatr popędził go na północ.

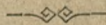


Przedruk wzbroniony.

ZA PRZYKŁADEM RODZICÓW.

NOWELKA.

Napisał dla „Pracy“ S. R.



I.

Państwo Z. siedzą przy stole w sali jadalnej, z dwójgim dzieci. Staś ma ośm lat, Mania sześć.

Małżonkowie klócili się już przed obiadem. Podczas kiedy służący zmieniał talerze lub przynosił potrawy, milczeli oboje, skoro jednak drzwi się za nim zamknęły, zaczęli się na nowo sprzeczać.

Pan Z. mnąc serwetę: „Więc postanowienie twoje jest niezłomne?“

Pani Z. ściskając machinalnie korek karafki: Tak!

Pan Z. „Chcesz koniecznie być na tym balu?“

Pani Z. Koniecznie! Nie mam żadnych rozrywek...

Pan Z. „A jeżeli ja ci tego stanowczo zakazę?“

Pani Z. To ci odpowiem, że — że jesteś tyranem, i że nie myślę znosić dłużej takiego życia! Mam go już dosyć!

Pan Z. I ja także. Słyszysz? Ja także! Ale na szczęście, mam na to sposób....

Pani Z. Jaki? Ah, rozumiem! „Już oddawna domyślałam się. — Zresztą masz słuszność. Nie możemy żyć razem!“

Pan Z. A zatem — rozłączenie. Widzę, że i ty myślałaś już o tem. Cieszę się bardzo! Im prędzej, tem lepiej!

Pani Z. Wybornie! Natychmiast!

Pan Z. Idę do mego adwokata!

(Wstaje). Pani Z. A ja do mego! (Wstaje także).

Oboje wychodzą i trzaskają silnie drzwiami.

II.

Staś i Mania zostali sami. Gwałtowność rodziców przestraszyła ich tak, że przez chwilę milczą oboje. Nareszcie zaczyna Staś cicho i nieśmiało:

Widziałas Maniu? Tata był zły! Krzychał!

Mania: Gniewał się na mamę.

Staś a mama na tatę. Oboje zapomnieli dać nam deseru. Miałem taki apetyt na to czerwone jabłuszko, które leżało na wierzchu, ale bałem się prosić o nie!

Mania: Dobrze zrobiłeś, bo byłbyś może zamiast jabłka dostał klapsa!

Staś: Ale teraz jesteśmy sami, mama zapomniała o lekcyi. Chcesz się bawić ze mną?

Mania: Dobrze, ale w co?

Staś: W pocztę. Przywiążemy sznur do dwóch krzeseł, to będą konie — ty będziesz księżniczka, a ja stangretem. Zawiozę cię prędko dokąd tylko chcesz!

Mania: Eh, to nudne! Urządźmy lepiej ślub. Ty będziesz moim mężem. Ugotujemy obiad, ponieważ będą też goście na ślubie.

Staś: Bawiliśmy się już wczoraj tak samo. To też nudne. Wymyślmy coś nowego.

Mania: Ale co?

Staś: Nie wiem, trzeba myśleć!

Chwila milczenia; Mania składa i rozkłada na kolanach chusteczkę, Staś kładzie palce w usta, co jest u niego znakiem wielkiego natężenia umysłu.

Staś: (nagle) Już mam! Jest to coś nowego. Możemy spróbować, jeżeli chcesz!

Mania: Nowego? A jak się to nazywa?

Staś: Bawmy się w rozłączenie, tak jak przed chwilą tata i mama.

Mania: Doskonale! Ale jak się to robi?

Staś: Najpierw trzeba się ogromnie klócić.

Mania: (niepokojnie). Ale nie bić.

Staś! Nie taty i mamy są za wielcy, aby się jeszcze bić mieli!

Oboje siadają na krzesła, na których siedzieli poprzednio państwo Z.

Staś: (zniżając głos) Więc postanowienie twoje jest niezłomne? Chcesz iść na bal?

Mania: Tak! Chcę tańczyć i ubrać się ładnie!

Staś: Ale ja ci tego zakazuję stanowczo! Ja mam wasy i jestem panem w domu.

Mania: To mi wszystko jedno!

Staś: Jesteś złośnica!

Mania: A tyś niegrzeczny.

Staś: Nie mogę już dłużej znieść takiego życia! Ale na szczęście, mam na to sposób! Rozłączymy się!

Mania: (wstaje) Idę do mego adwokata!

Staś: A ja do mego!

Mania: Założę się, że ja będę pierwsza!

Staś: Nie ja!

Mania: Zaprzęzę naszego kozła do wózika!

Staś! A ja wsiądę na mego konika na biegunach! Hop, hop! Dogonię cię zaraz!

Mania: Uderzę batem twego konia.

Staś: A ja wyrwę twój powóz i ciebie, o, tak — tak widzisz!

Popycha Manię, która pada na dywan i uderza się lekko o stołową nogę.

Mania: (placząc) Uderzyłeś, mnie, a mówileś, że nie będziesz bić!

Staś: (przestraszony) Nie zrobiłem tego umyślnie. Nie chcesz się już bawić?

Mania: Nie!

Szkoda! Bo teraz bylibyśmy się zaczęli dopiero bawić w najlepsze!

Mania: (z zajęciem) Jak to?

Staś: Przy rozłączeniu trzeba się wszystkim dzielić.

Mania: Dasz mi twój hełm!

Staś: Tak, a ja wezmę twój mały wachlarz!

Mania: A ja twoje kule!

Staś: A ja twoje filizanki z pudełkiem!

Mania: (skacze i uderza w rączki) A ja twój mundur i będę markietanką!

Staś: A ja twoją lalkę, Ludwinię...

Mania: (poważniejąc nagle) O nie! Lalki nie!

Staś: Czemu nie? Jeżeli się rozłączamy, to ona należy tak samo do mnie....

Mania: Nie dam ci lalki!

Staś: To oszukaństwo! Ja daję ci wszystko! Jeżeli chcesz, to możesz nawet wziąć moją latarnią magiczną i bęben.

Mania: A ja ci jednak nie dam lalki!

Staś: Czemu?

Mania: Bo to moja córka, a ja jestem jej mamą!

Staś: A ja jestem jej ojcem, i potrafię jej lepiej bronić od złego, niż ty! Pamiętasz, jak w ogrodzie rzucił się pies na nią?

Mania: Tak, ty ją ratowałeś, ale nie umiesz jej tak ucałować, jak ja. I ja też kładę ją co wieczór do łóżeczka, i ona nie spałaby całej nocy i płakałaby ciągle, gdyby nie była przy mnie!

Staś: Ale ja jestem mężczyzną, zarobię dużo pieniędzy, i kupię jej ładne suknie!

Mania! Ona woli swoją mamę, niż ładne suknie!

Staś! (tupiąc nogą) Ale ja chcę mieć twoją Ludwinię! Ponieważ się rozłączamy i dzielimy wszystkim, chcę ją mieć. Słyszysz! Mam prawo do tego!

Mania (biegnie do małej kołyski, wyjmując z niej lalkę i przyciska ją mocno do serca) Nie dostaniesz jej!

Staś: Więc wezmę ją przemocą!

Mania: (krzyczy) Nie! nie! Choćbyś mnie bił! Podrapię ci twarz!

Staś rzuca się ku niej i chce wydrzeć lalkę, Mania ucieka i krzyczy przeraźliwie.

III.

Po prawej i lewej stronie otwierają się drzwi, państwo Z. wchodzą. On, bardzo blady, ona z zaczerwienionymi oczami, oboje niespokojni.

Pani Z.: Co się tu dzieje? Na Boga! Czemu tak krzyczysz?

Pan Z.: Maniu, czemu płaczesz? A ty Stasiu? (Bierze oboje dzieci na kolana).

Mania: (Ikając) Staś chciał mi wziąć Ludwinię!

Staś: Bo miałem prawo do tego! Rozłączyliśmy się! Wszakże wolno mi ją wziąć? Trzeba się przecież wszystkim dzielić!

Mania: Ale nie lalką! Dzieci należą do matki.

Staś: Do ojca też, a jeżeli ich jest dwoje, to tata bierze jedno, a mama drugie.

Mania: Ale ja mam tylko jedną córkę!

Staś: (po chwili namysłu) Więc przetnijmy na dwie części!

Mania: (placząc) Nie! To by ją bolało. Nie chcę się już bawić w rozłączenie, to brzydka zabawa! Nie chcę!

Państwo Z. patrzą na siebie. Zrozumieli się! Pan Z. przyciska dzieci do serca, żona jego pochyla się, i całuje ich głowę. Potem ujmując rękę męża, i szepce: „Brzydka to zabawa!“



Romans cesarza.

Jenerał Fleury był jednym z najzafuanszych faworytów i przyjaciół cesarza, Napoleona III, dzieląc jego dołę i niedole i towarzysząc mu po upadku cesarstwa nawet na wygnanie. Był także wiernym doradcą syna jego, księcia Ludwika, aż do tragicznego zgonu księcia. Z tych czasów pozostawił jenerał Fleury pamięć-

tniki, które spadkobiercy postanowili ogłosić drukiem i których tom pierwszy co dopiero opuścił prasę w Paryżu.

Tom ten pamiętników jest bardzo interesujący, gdyż mieści w sobie prócz innych cennych szczegółów opis epizodu z nieznanego dotąd romansu z czasów ówczesnego księcia Ludwika, a późniejszego cesarza Napoleona III.

Po pierwszej przez księcia-prezydenta odbytej paradzie powiedział pewien klubowiec paryski, znany z uszczypliwego języka i stąd unikany te słowa: „Któżby mógł jeszcze powątpiewać, że Ludwik Napoleon jest głuptasiem? Czyż nie przywiózł najśliczniejszej kobiety i najpiękniejszego rumaka z Anglii?” Słowa te rozbiegły się wnet po salonach Paryża, w których księcia miano za człowieka nieskłonno do awantur miłosnych.

Księżę Ludwik Napoleon przywiózł w rzeczy samej wówczas z Anglii przyjaciółkę cudownej piękności. Miss Howard — tak się nazywała — odgrywała w życiu światowem Londynu, które wówczas „high-fashion“ nazywano, bardzo ważną rolę. Wspierana po książecemu przez swego ówczesnego kochanka, majora Montjoye-Martin'a, była osobą nadającą ton w kołach najwyższej arystokracji. Jej z największym komfortem urządzone mieszkanie, jej pojazdy i konie, wszystko to było wzorem przepychu i mody, a na ucztach u niej dawanych spotykali się pierwszorzędni zastępcy arystokracji, jak księżę Beaufort, lord Chesterfield, hrabia d'Orsay i wielu innych. Wprowadzony w dom jej księżę Napoleon przez hrabiego d'Orsay'a był oczarowanym jej cudowną pięknnością i iście królewską powagą. I miss Howard zainteresowała się bardzo księciem, którego odważna i śmiała ucieczka właśnie w tym czasie z twierdzy w Ham najwyższą wywołała sensacją. Stosunek zakochanych stawał się coraz ściślejszym.

Gdy wybuchła rewolucya w lutym i Ludwika Napoleona wybrano w tym czasie deputowanym, oświadczyła mu miss Howard, czy powodowana ambycją, czy też rzeczywiście miłością, że mu towarzyszyć będzie do Francji, stanie się tam jego niewolnicą i rzeknie się dla niego zbytków, sukcesów i triumfów. Krótko po wyjeździe księcia do Paryża podążyła za nim i wynajęła skromne mieszkanie w hotelu „Maurice“, z którego wnet przeniosła się do własnego przy rue de Cirque położonego hotelu. Tam i tu żyła skromnie i spokojnie, unikając na zewnątrz wszelkiego zgiełku. Tylko najlepsi przyjaciele księcia, jak Presigny, Edgar Ney, Fleury przebywali w jej domu i rzadko tylko odwiedziny słynnych artystów lub chwilowo bawiących w Paryżu Anglików przynosiły odmianę w tem małym, żyjącem w odosobnieniu od świata kole, gdyż miss Howard czyniła wszystko, aby stosunki swe do pretendenta do tronu ukryć przed oczyma szerszej publiczności. Atoli po wypadku w kraju w dniu 2 grudnia, gdy przywrócenie cesarstwa było kwestyą tylko krótkiego już czasu, piękna Angielka ukazała odwrotną stronę swego charakteru.

Wtedy zbudziła się w niej ambicja, więc postanowiła sprzątnąć plon sowity za poświęcenie się swe dla księcia, żyjącego prawie bez środków utrzymania i bez pewnej dotąd przyszłości. I gdyby była rodowitą Francuzką, obeznaną z mową francuską i zwyczajami francuzkami, to

by z pewnością było się jej udało zdobyć sobie rolę drugiej Pompadour.

Odtąd stawała się coraz więcej wyimagającą, wyjeżdżała na przechadzki mniej dyskretnie, wogóle dążyła teraz do tego, aby jej stosunek z księciem stał się powszechnie znanym i był widocznym. Na wiosnę przesiedlił się Ludwik Napoleon do Saint-Cloud. Miss Howard zażądała i postawiła na swoim, że książę ją w zamku, jak się wyraziła skromnie „ukrył“ przeznaczony jej mieszkanie parterowe. Nie stroniła jak dawniej od świata, a podczas parad wojskowych w Wersalu pojazd jej zajmował osobne, pierwszorzędne miejsce, z którego ją można było dobrze obserwować. Dotychczasowa sekretna i pełna taktu przyjaciółka księcia stawała się powoli wszechmożną faworytką. Napoleon przeniósł się do pałacu Tuileryjskiego i dawał tam pierwszy bal świetny. Miss Howard zjawiła się na balu ku niemałemu zdziwieniu przyjaciół księcia; prowadził ją pod rękę pułkownik Béville w towarzystwie hr. Bacciochi'ego, których potrafiła sobie zjednać. Za nią postępowała dama do towarzystwa, zastępująca damę dworską. Jej klasyczna piękność, jej nadzwyczaj gustowna i bogata toaleta, wszystko to wzbudziło ogólny podziw, ale ponieważ wielu z gości jej nie znało, więc się udało przedstawić ją jako damę co dopiero przybyłą z Londynu.

To wystąpienie na balu, przez które miss Howard usiłowała wyrobić sobie ostatecznie oficjalne uznanie swego stanowiska, było dla niej zgubnem. Przyjaciele księcia śledzili już od dłuższego czasu zmianę jej taktyki, a przewidując na co się zanosi, czekali tylko na sposobność, by ją usunąć od księcia, który powinien był wreszcie wstąpić w stan małżeński, celem utrwalenia dynastji. Miss Howard była tutaj dla zwolenników księcia wielką przeszkodą, więc rozpoczęła się teraz między faworytką Napoleona a jego zwolennikami z Fleury na cele walka stanowcza, która się zakończyła klęską dla pięknej Angielki. Księżę na usilne nalegania doradców postanowił ostatecznie się ożenić. Fleury wysłany został ze szczególną misją w tej sprawie do Darnsztatu, by tamże za pośrednictwem wielkiego księcia, Ludwika III, prosić dla księcia o rękę księżniczki Karoliny Wazy, dzisiejszej królowej saskiej. A chociaż plan ten spełził na niczem, to jednak miał tę dobrą stronę, że Napoleon nie rozstawał się odtąd z myślą ożenienia się.

Po proklamacyi cesarstwa miss Howard otrzymała tytuł „hrabiny de Beauregard“ (od dóbr położonych pod Wersalem, które jej przekazano na własność do śmierci.) lecz tytuł jej zniesiono później na mocy protestu kilku rodzin szlacheckich, noszących to samo nazwisko, na tytuł „hrabiny de Béchevet“.

W tym właśnie czasie poznał cesarz Napoleon Eugeniję Montij, a prędzej, aniżeli potrafiła uczynić to polityka, wyrugowała nowa kielkująca miłość z jego serca na zawsze piękną Angielkę.

EJ DZIEWCZYNO!

Ej dziewczyno!... ej kochanie!...

Wierz mi — prawda szczerza...

Że z oświatą nowe życie

Ludziom się otwiera.

Innym głosem do nas śpiewa
Ten dzwonek z kościoła...
Inną mową też przemawia
Ten bór z po za sioła...

Po nad bliskie te zagony
Wzrok nasz dalej płynie,
Widzi Polskę wielką — cudną
W jej obszarach ginie.

Oj! my wiemy dziś niebogo,
Jak jest, a jak było...
Kiedy szczęście wolnej Polski
Za chmury się skryło.

Oj! my wiemy, co to znaczy
Dla niej żyć, pracować,
Trudu ofiar i poświęceń
Wcale nie żałować!

Bo nad życie, nad kochanie
Milsze szczęście jest Ojczyzny.
Oj dziewczyno!... pradziadowie
Głód znośli — boje — blizny.

Krwia skropili te zagony,
Kraj zasiali kośćmi swemi...
A myż mamy być nieczynni...
Obojętni dla tej ziemi?...

Ach! oświata, wielką siłę
Wniosła w ducha, w serce wlała...
Przez nią, wielką jak Ojczyzna
Jest mi moja wioska mała.

Orzę sieję — koszę sobie...
Kocham ciebie ma dziewczyno —
Lecz me myśli, me uczucia
Dalej — dalej jeszcze płyną.

I ty dziewczę ucz się szczerze
Kochać Polskę tę jedyną,
Matkę naszą, biedną, smutną!
Kochaj ze mną, oj dziewczyno!

J. S.

Wiadomości.

Znana zaszczytnie fabryka mydła p. St. Żychlińskiego w Gnieźnie przy ulicy św. Wawrzyńca 29, filia przy ulicy Farnej — jedyna polska fabryka mydła w Księstwie — zaczęła w ostatnim czasie fabrykować jako specjalność mydła toaletowe, zaprawione zapachem naturalnych kwiatów, konserwujące skórę i nadające twarzy cerę nadzwyczaj delikatną. Mydła to dorównuje wszelkim podobnym wyrobom zagranicznym, a kosztuje tylko kawałek 30 fen., podczas gdy za podobny, nieraz lichy wyrób zagraniczny płacić musimy 75 fen. — 1 mk. Polecając usilnie ten nowy fabrykat rodzimy, jak też wogóle wyroby p. Z., znane powszechnie ze swej dobroci, względem Szanownych Czytelników, zachęcamy ich gorąco do popierania fabrykatów p. Z., gdyż warunkiem naszym kardynalnym jest powinność popierania polskiego, krajowego przemysłu.

Poznańska izba rolnicza ogłasza, że centralna spółka rolnicza podejmuje się już pośrednictwa w zakupnie i sprzedaży zboża wszelkich gatunków. Izba rolnicza wzywa przeto rolników, aby się z rzeczoną spółką skomunikowali. — Zadzwiwającym jest, że izba rolnicza ogłoszenie takie zamieszcza tylko w poznańskim »Tageblacie«. Czyżby nie wiedziała lub wiedzieć nie chciała o tem, że polscy ziemianie »Tageblatu« nie czytają dla antypolskiego charakteru tego pisma? Nadmieniamy, że i »Pos. Ztg.« została pominięta.

Kupno i sprzedaż. Kamienicę przy ulicy Wodnej nr. 23 sprzedał p. R. Roeschke za 120 tysięcy marek rzeźnikowi p. St. Łuszewiczowi z Berlina. — Pan Dressler kupił dom przy ul.

Wodnej nr. 26 i przy ul. Klasztornej nr. 9. — Pan Edward Skórzewski z Poznania nabył od p. W. Nieżychońskiego z Żelicy pozostały z parceli majątek Albertynowo, obejmujący około 720 morgów. — Pan Józef Zielinski, przedsiębiorca budowlany w Jerzycach nabył za pośrednictwem H. Frankiewicza 3 morgi gruntu przy ulicy św. Wawrzyńca od gospodarza Marcina Mutha w Jerzycach za 12,000 marek.

Rogaszyce, należące dotychczas do p. Nestora Węzyka przeszły w posiadanie syna tegoż p. Józefa, który odbudowuje dwór zgorzały przed kilku laty.

Stęszewo. Hr. B. Potocki z Będlewa postarzał się u rządu i uzyskał przyzwolenie na utworzenie dwóch majoratów ze swych dóbr. Będlewo z przyległościami ma 2731,37 hektarów obszaru i stanowić będzie jeden majorat, Wojnowice w pow. grodzkim, z przyległościami, mające 4695,66 hektarów obszaru, drugi majorat.

Inowrocław. Drogerye swoje pod firmą Kurowskiego sprzedał p. Kaczmarek p. Cedzichowi z Jeżyc, kupując jednocześnie od pana Feldmana za 85,000 m. dom przy ulicy Fryderykowskiej.

Ostrowo. Mistrz piekarski pan Świerczyk kupił od wdowy Ledermann za 3000 m. grunt jej z Rynkiem graniczący.

Leszno. Folwark radcy miejskiego Dolszycusa we wsi *leszczyńskiej* nabył gospodarz Wojciech Skuracki z Czacza.

Bydgoszcz. Kamienicę przy ulicy Średniej nr. 13, należącą do kupca Kurziga w Inowrocławiu, kupiła Amalia Rathke z Bydgoszczy za 49,500 m.

Lubawa. (Prusy Zach.) Majątek po śp. A. Zuralskim w Tyliczkach kupił na licytacji p. Kazimierz Szulc z Zalesia za 41,300 marek. Rodakowi szczęść Bożę!

Wąb. żeńne. (Prusy Zach.) Targ na remonty wyznaczony tu na 8 października. Właściciele koni stawić mogą wierzchowce od 5 — 8 lat, wyjątkowo i od 4 lat, jeżeli konie rosły i silne.

Złote myśli

Tadeusza Kościuszki.

Przez jedność i zgodę stanowimy jedno ciało, trzymamy się nierozłącznie w jednym zamiarze, sercem, działaniem i majątkiem do jednakowego dążąc celu.

Niech będzie powszechna edukacja, a wtedy niczego się lękać nie trzeba.

Taki jest los ludzkości uciemnionej, iż ani spraw swoich utrzymać, ani ich inaczej odzyskać nie może jak tylko największą ofiarą, poświęcając się zupełnie za sprawę Ojczyzny.

A gdybyśmy byli podli, cheiwi, interesowani, niedbający o kraj swój, słusznie, abyśmy potem mieli kajdany na szyjach, bo tego warcibyśmy byli.

Wynalazki.

Nowy karabin wynalazł włoski kapitan Cei, dający 80 strzałów na minutę bez ustanku. Mechanizm tej nowej broni w wielkiej trzymanej jest tajemnicy. Obecnie królewska fabryka broni ręcznej w Terni zajęta jest sporządzeniem kilku sztuk tej niebezpiecznej, najnowszej broni morderczej na próbę.

Kamienie ze słomy do brukowania ulic wynalazł na próbę pewien rosyjski inżynier, który swemu wynalazkowi przyobiecuje wielkie korzyści. Kraje się słomę, zaprawia się ją

smołą lub też innym antyseptycznym materiałem i prasuje się ją pod silnem ciśnieniem hydraulicznem na kłocę stosownej wielkości. Nowy bruk ze słomy, który się tak samo urządza jak bruk z drzewa, ma tę korzyść w obec ostatniego, że się tak wnet nie zużywa i posiada więcej elastyczności, a wozy jadące po nim nie sprawiają turkotu tak samo jak na bruku asfaltowym. Wynalazca otrzymał patent.

Obrona prawna.

Ważne dla kupców. W sądzie berlińskim toczyła się świeżo sprawa przeciwko kupcowi, który inne ceny popisał na towarach, wyłożonych w oknie wystawowem, a inne droższe w samym składzie za towary tego samego rodzaju i dobroci. Sąd skazał obżalowanego na karę i poniesienie kosztów procesu.

Ważne dla rzeźników. Sprawa farbowania kiszek i kiełbas, aby nadać im lepszy i apetyczniejszy wygląd, była w ostatnim czasie kilkakrotnie przedmiotem rozpraw sądowych. Ale podczas gdy sądy ławnicze uwalniały oskarżonych o to, wychodząc z tego założenia, że zafarbowanie kiszek mięsnych niewinnymi środkami nie może być uważane za fałszowanie artykułów spożywczych, wyrokiwały wyższe instancje — izby karne — w każdym niemal wypadku w przeciwnym duchu. I tak rzeźnik berliński Sch., który farbował wyrabianą w jego pracowni kiskę turyngską, skazany został za to w tych dniach na 30 mr. kary, sąd bowiem dopatrzył się w tym wypadku znów sfalszowania, mającego na celu oszukanie publiczności.

Informacje, dotyczące handlu, przemysłu i rolnictwa.

Konkursy.

Ogłoszono konkurs: 1) nad majątkiem kupca p. Mieczysława Sobieckiego w firmie M. Sobiecki w Poznaniu; zawiadawcą masy konkursowej został mianowany kupiec Ludwik Manheimer; 2) nad majątkiem kupca, p. L. Lewina w Gębicach, właściciela firmy Wolff Lewin i Syn; zawiadawcą masy jest adwokat, p. Warschauer w Trzemesznie; 3) nad majątkiem zmarłego kupca Saly'go Danzigerera w Smiglu; zawiadawcą jest kupiec, p. Natan Licht w Smiglu; 4) nad majątkiem kupca p. Tomasza Bułińskiego w Brodnicy, w Prusach Zachodnich. — Zniesiono konkurs: 1) nad majątkiem mistrza piekarskiego, p. Franciszka Janiszewskiego w Klecku; 2) nad majątkiem pani Agnieszki Franke w firmie »A. Franke« w Bydgoszczy z powodu niedostatecznej masy konkursowej; 3) nad majątkiem zmarłego dziedzica dóbr Łyskowskiego w Jelitowie pod Gnieznem.

Wyłączenie wspólności majątku i dorobku.

Dziedzic dóbr rycerskich, p. Stanisław Brzeziński z Podlesia kościelnego w powiecie wągrowieckim i żona Zofia z domu Szultz. — Kupiec, p. Kazimirz Weydman i panna Antonina Rychlewska, oboje ze Żnina. — Kowal p. Ignacy Chudysiewicz z Inowrocławia i panna, Pelagia Walczykiewicz z Chełmc. — Ogrodnik, p. Ksawery Swierkowski i panna Michalina Beneszowska, oboje z Łopienna w powiecie wągrowieckim. — Kupiec, p. Piotr Hechelski i żona Władysława z domu Dziegiecka z Po-

znania. — Kupiec, p. Juliusz Mikulla i żona Gabryela z domu Sawilska z Ostrowa. — Kupiec i oberzysta, p. Ignacy Dandelski i panna Zofia Wiśniewska, oboje z Kobyłina.

Sprawozdania handlowe.

Stan zboża i widoki sprzętu w W. Ks. Poznańskim. I nam w Księstwie lato tegoroczne, chociaż bez powodzi, zgotować może wielką kłeskę. Skutkiem bezustannych deszczów pszenica i jęczmień na dobre porasta, z powiatu Śremskiego donoszą nam, że i żyto, dotychczas nie sprzątnięte, zeznialo zupełnie, gnije i porasta. Do poznańskiego „Tageblattu“ donosi przewodniczący pewnego towarzystwa rolniczego, że ostatnie deszcze wyrządziły ogromne szkody po polach. Zboże wyrosło lub też całkiem zostało zniszczone. Żyto przed deszczami wprawdzie po większej części zwieziono, choć po większych dominiach i żyto jeszcze na polu się znajduje. Za to wszystkie pszenica i jęczmień tak skoszone jak i na pniu powyrastały. Rolnicy w całej prowincyi poniosą ogromne straty. Nie tylko ziarno, ale i słoma ucierpiała. Rolników dotknęła zatem wielka kłeska. Stan jarzyn przedstawia się zadowalniająco i sądzą ogólnie, że niedobory pszenicy i po części jęczmienia wyrówna zbiór żyta, reszty jarzyn i cukrówki.

Z rynku zbożowego. Wiadomości o zbiorach, dokonywanych obecnie na półkuli północnej, brzmią rozmaicie: we Francyi, Austro-Węgrzech i po części w Niemczech — urodzaje nie rokuja obfitych plonów, zato w Stanach Zjednoczonych i w Indiach nadzieje ostatnimi czasy poprawiły się znacznie. Ponieważ według prawdopodobnych obliczeń lepszy niż początkowo oczekiwano stan urodzajów w Ameryce nie skompensuje braków, grożących Europie, przeto usposobienie rynku zbożowego w ubiegłym tygodniu było mocne.

Nadestane.

Berlińska aptekarska gazeta „*Pharmaceutische Zeitung*“ w nr. 59 z dnia 24 lipca rb. pisze co następuje:

»Zachodnie Prusy. Z wiarogodnego źródła dowiadujemy się, że przeciw jednemu aptekarzowi w Zachodnich Prusach wystąpiła prokuratura na żądanie sądownie, ponieważ zamiast żadanego i przez niego prowadzanego Richtera Pain Expelleru sprzedawał swój własny preparat. Na skutek doniesień o różnych podobnych wypadkach wysłała firma Richtera do Zachodnich Prus swego pełnomocnego urzędnika, który pojedyncze wypadki na miejscu stwierdził i, gdy dobrowolne układy speliły na niczem, sprawę oddał sądowi.

Donosimy o tem dla przestrogi szanownym naszym kolegom, a o dalszym przebiegu tej sprawy damy w swoim czasie ciekawą wiadomość. W każdym razie wypadek ten jest ostrzeżeniem do ścisłego przestrzegania przepisów o nowem prawie fabrycznej marki ochronnej.

Zwracając na powyższą wiadomość uwagę Szanownej Publiczności nadmieniamy, że jak nam skądinąd donoszą, podrabiany Pain Expeller sprzedawanym bywa, szczególnie ludowi wiejskiemu, w butelkach bez opakowania, owiniętych po prostu w zwyczajny papier, podczas gdy prawdziwy kotwiczny Pain-Expeller opakowanym jest w tekturowem pudełku, które u góry i u dołu zaklejone jest marką fabryczną „czerwoną kotwicą“

Humorystyka.

Rownouprawienie.

(W pewnym parku w Poznańskim).
(Autentyczne).

By plantacyi uszkadzaniu
Skutecznie w parku zarządzać,
Istniał napis na tablicy:
Tu nie wolno psów wprowadzać.

Lecz figlarz jakiś niecnota,
Zatarłszy napis rzeczony —
W miejsce tegoż namalował;
Zydom wstęp jest zabroniony.

I mogłaby ta tablica
Długie lata „sobie stoic”,
Gdyby Izrael nie poczał
Rady miejskiej niepokoic.

Że natychmiast z jej poleceń
Zamieniono ogłoszenie,
Więc jak wszędzie i w „Poznańskim”
Mamy równouprawienie!

Trzeba się uczyć.

— Ty nad książką?... cóż to się stało?
— Czas mój drogi, żyć na serjo...
Studuję o bankach.
— A tobie to na co?... Chcesz zostać
buchalterem?
— Nie. Ale chce się żenić, a bez tych
studjów niepodobna mi to zrobić. Dawniej
jak ci powiedziano, że panna ma n. p.
25,000, toś wiedział czego się trzymać; a
dziś jak nie wiesz dokładnie kursu papierów,
możesz się djabelnie złapać. Trzeba
się uczyć... przeminął wiek złoty!

RADA.

Jeśli przejechać chcesz s z y b k o
Życiowe błonia,
To bez namysłu, o rybko,
Siadaj na konia.
Lecz gdy chcesz, by cię wytrwale
Fortuna niosła,
Nie namysławiaj się wcale,
Siadaj na osła!

Z nauczycielem śpiewu.

— Proszę też pana wypróbować moją
córkę, czy ma głos.
— Próbowałem, ale córka pani nie
ma ani głosu, ani słuchu i nie może być
śpiewaczką.
— Ja też sobie tego wcale nie ży-
czę; chciałabym tylko, żeby mogła coś na
dobroczynny cel zaśpiewać.
— A, to co innego!

?

— Czem się różni panna od motyla? —
Zapytała raz pana Emila
Podstarzała już mocno dziewica.
Emil na to:

— Jest wielka różnica:
Motyl, którym różę się dziś szczygą,
Był w swem życiu naprzód gąsienicą,
A panienka bez dwuznacznych dylem
Była naprzód, powabnym motylem...

Nasi myśliciele.

Rzecz się dzieje w handelku.
— Ochl, panie Macieju, straszne prze-
żywamy czasy.
— I w dodatku ciężkie.
— W Indyach podobno panuje głód.
— Na samą myśl człowiekowi aż
w żołądku kruczy...
— To prawda; panie bufetowy, pro-
simy o dwie porce sandacza, tylko
dużo jaj!
— Wyobrażam sobie, jak ci nieszczę-
śliwi Indianie muszą cierpieć...
— Nie mów mi kolego, bo aż się
słabo robi; panie gospodarzu, po rybie
prosimy o dwa dobre antrykoty.
— I buteleczkę węgierskiego zaraz.
— Biedni ludzie.
— Powiedz pan, bardzo biedni!

Z tematów biblijnych.

Pewnego razu w dzień gorący
Na jednym szczeblu życia drabin
Spotkali się, ot tak niechęcący,
Ubogi żydek oraz rabin,

Pelen szacunku dla rabina,
Chciał mu ustąpić żydek z drogi:
Niechaj się rabi pierwszy wspina,
On za nim będzie włókł swe nogi.

Lecz rabin na to się nie zgadza
I każe naprzód iść żydkowi,
Albowiem kto w skromności chadza:
Najmilszym bywa prorokowi.

Przytem, gdy zdarzy się nieładnie
W drabinie szczebel nadpróchniały,
Żydkowi skrócić kark wypadnie,
A skromny rabi wyjdzie cały...

W szkółce wiejskiej.

(Na Geografi.)

Nauczyciel. Kapuściński, powiedz mi
gdzie leży Kuba?

Uczeń. Hm... nie wiem, proszę pana
profesura.

Nauczyciel. Co! niewiesz gamoniu
gdzie się znajduje?

Uczeń. A... dyć w stodole księdza
proboszcza!

Jakim sposobem wynalezioną została pieczeń barania?

Przyszedł baran do człowieka,
Łapki łamie i narzeka,
Mówiąc:

— Ochroń mnie od wilka,
Który zdusił owiec kilka.
— A i owszem — człowiek na to —
Moja chata twoją chatą!
I nazajutrz ze swą panią
Człowiek pieczeń jadł baranią.

To co innego.

— Szulerowanie wiedzie do zguby
Niechaj od kart nas niebiosą strzegą,
Bo gra to zbrodnia, mój panie luby...
— Ale gdy wygrasz?

— To... co innego.

Krótką, ale treściwą balladą poznańską.

Jest mąż i żona, historya stara.
Mężem jest Wojciech, żoną Barbara.
Przez rok po ślubie Wojciech troskliwy
O zdrowie żonki, wyprawia dziwy!
Choć Basia była jak pączek tłusta
I miała świeże rumiane usta.
Dziś usta zbladły, Basieczka schudła,
Rączki jak wiórki, nóżki jak szczudła,
Lecz Wojciech, chociaż żonka wciąż słaba,
Mówi, ziewając:

— Pieści się baba!

Przezorny ojciec.

Kupiec winny X. Czy też to prawda,
co słyszałem, że kolega synowi swemu
nie pozwolił wstąpić na wydział nauk
przyrodniczych?

Kupiec winny Y. Prawda; kazałem
mu uczyć się na wydziale matematycznym.

Kupiec winny X. Dla czegoż to?

Kupiec winny Y. Dla tego, iż nie
mogę pozwolić na to, ażeby mój syn,
zostawszy chemikiem, stracił należny
ojcu szacunek.

CRESCENDO.

Gdy Piotr noce spędzał w knajpach,
I do domu wracał zrana,
Powtarzali po nim wszyscy,
Że wpadł w błoto po kolana...

Gdy go później gdzieś w kawiarni
Ograł w karty jakiś opas,
Znowu chórem powtarzano,
Że się biedak skąpał po pas...

Dziś ma żonę, istną jedzę,
Co mu ciągle głowę suszy,
Więc sam mówi: oj! zagrzązłem,
Zagrzązłem po same uszy!

TELEGRAMY.

Berlin.

W Niemczech śnać rozkład jest na dnie,

Intryga chwili nie spocznie,

Ciągle się dzieje nieładnie

I coś się psuje widocznie.

Trzeba jakiegoś wzięcia proszku,

Coby odrodził stan taki,

Bo się zanadto potroszku

Zalęgły tutaj... prusaki.

Fridrichsruhe.

Biś z wiejskiego swego łanu

W alarmowy bije dzwon,

Że dziś niema mężów stanu,

Tylko on!

Mówi przy tem uroczyście,

Że niemiaszków z troski szpon

Może wyrwać oczywiście

Tylko on!

Konstantynopol.

W Turcyi, która jęczy w biedzie

I umiera dziś co chwila,

Rej oddawna tylko wiedzie

Wstrętą dworska kamaryla.

I być może, z czasem Porta

Zbyt daleko z nią zajędzie,

Gdy tych dworskich sług kohorta

Z Europy ją... wywiedzie.

Sprzedaje.

Kilka rzeczywiście pięknych folwarków,

przy warunkach bardzo przystępnych **tanio do nabycia** a korzystnie położonych z urodzajną ziemią, dobrze odbudowanych i z silnym inwentarzem, sumiennie polecić może i to bez wszelkich kosztów a mianowicie:

1. folwarczek

510 mrg. do połowej pszennej, reszta dobrej żytniej ziemi z pięknymi budynkami i nadzwyczaj silnym inwentarzem, szkoła i szosa w miejscu oraz niedaleko miasta, przy zaliczce 20.000 marek.

2. folwarczek

360 mrg. wszystko buraczana ziemia I Cl., z pałacem o 18 pokojach w cudnym parku, budynki jak forteca, z ślicznym inwentarzem, tuż przy mieście powiatowym z gimnazjum szkołą żeńską, znacznym garnizonem i t. d. przy zaliczce 36.000 marek.

3. folwarczek

300 mg.; wszystko pszena i żytnia ziemia, piękne budynki dostateczny inwentarz, dobre położenie i pewnym widokiem obfitych żniw, przy zaliczce 12.000 marek.

4. folwarczek

250 mrg wszystko buraczana ziemia, dobre budynki tylko milka od znacznej cukrowni, przy zaliczce 10,000 mk.

5. folwarczek

310 mórg żytniej ziemi, budynki niezłe, wystarczający inwentarz i z dobrą uprawą ziemi, przy zaliczce 10,000 mk.

6. folwarczek

370 mórg pysznej ziemi i z bardzo dobrimi budynkami, pięknym, obszernym domem mieszkalnym o kilkunastu pokojach w śród ślicznego parku, przy zaliczce 12,000 marek i t. d. i t. d.

Centralna Agentura dóbr
Drwęski i Langner
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Młyn!

Wiatrak na koźlach, z domem mieszkalnym, stajniami, 78 ar. ogrodowej ziemi i łąki w Nowemmieście n/W. jest zaraz albo od 1 października pod korzystnymi warunkami do nabycia albo wydzierżawienia. Bliższych wiadomości udzieli (408)

W. Seiler
Piekary 12, róg ul. Piotra i oberżyta Springmann,
Nowemiasto (Neustadt a/W.)

Dom. Redgoszcz
p. Rombschin
poleca
barany óxfordy
roczniki wagi na 200 funt. w cenie 83, 103 i 123. mk. W razie niezadowolenia zwrot lub zamiana.

Sliczna wieś rycerska

gospodarstwo renomowane — w jednym z najlepszych powiatów w Księstwie, ca. 2100 mg. i to 100 mg. trzęsiecnych łąk, 1000 mrg buraczanej ziemi I kl. od skiby do skiby i 1000 mg. lasu w tym około 450 mg. 40 do 50 i 120 mg, 50 do 70 letniego pięknie wyrosłego drzewa, przeważnie sosny, dworzec i szosa w miejscu oraz tuż przy cukrowni i mieście powiatowym z gimnazjum — budynki masiw welbowane, na żelaznych słupach i w najlepszym porządku, **pałac o 20 pokojach w pośród obszernego cieniściego parku,** silny i przedni inwentarz, nader obfite żniwa **taksa landshaftowa ca. 380,000 marek, dochód gruntowy ca. 7000 marek** przy zaliczce 60.000 marek stosunkowo **tanio** do sprzedania lecz **tylko rodakowi.**

Łask. oferty upr. pod litr. **W. A.** do biura ogłoszeń „Rudolf Mosse Annoncenbureau“ Posen.

Cegielnią

wraz z gospodarstwem 45 mg. dobrej ziemi, dom mieszkalny i inne budynki gospodarskie murywane, 2 piece, 3 szopy, znaczny odbyt pod względem rur do drenowania, stawki dla ryb, w korzystnej do budowania okolicy w W. Ks. Poznańskim, jak stoi i leży jest pod przystępnymi warunkami na sprzedaż.

Zapytanie nadesłać proszę: **H. M.** postlagernd Pleszew

Sztuciec

w **dobrym stanie** jest **tanio** na sprzedaż. Gdzie? Wskaże Eksp. „Pracy“.

Dzierzawy.

Do zadzierżawienia jest bardzo dobra

karczma dom.

Pierwszeństwo mieć będzie wyuczony kowal. Reflektant zakupić musi znaczniejszy kawał znakomitej roli i wykazać się, iż posiada majątku w gotówce 5000 marek. Zgłoszenia nadesłać pod liter.: **E. K.** 600 postlagernd **Poznań** (Posen).

Shukam od 1 października t. r. lub prędzej dzierżawy

gościńca

dominialnego lub gospodarczego w W. Ks. Poznańskim lub w Prusach Zach. Zgłoszenia przyjmuje **Wawrinn Szcześniak,** Żelice p. Wągrowiec.

Shukam dzierżawy gościńca

na większej wsi kościelnej lub dobrego **hotelu** z rolą. O oferty uprasza **Perliński,** Kobylin.

Shukający miejsc.

Gorzelnik

kawaler niezony **słószarz-maszynista,** doskonały w swym zawodzie, 6 lat w obecnej posiadzie. wolny od wojskowości i **kształcony u Delbrücke w Berlinie,** szuka posady od zaraz lub od października r. b. przy **skromnych warunkach.** — Bliższych szczegółów udzieli **bez wszelkich kosztów.**

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska 38.

Nader uzdolniony agronom

liczący lat 35, żonaty, tylko z małą rodziną, z wyższym wykształceniem, **8 lat w obecnej posiadzie** gospodarstwie renomowanym — mogący się powołać na świetne rekomendacje pierwszych powag poszukuje posady od zaraz.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska 38.

Wykształc. człowiek,

państw. egz. nauczyciel, biegły w gosp. i kupieck. książkowości i rachunkowości, obeznany z tworzeniem steril. prof. dr. Gärtnera mleka tustego i steril. mleka niezbiel. w skutek czego litr mleka przynosi 36 fen., szuka od zaraz miejsca jako domowy lub prywatny nauczyciel, albo rendant, książkowy fabryczny lub gospodarczy w większych dobach rycerskich, a ew. stanowiska celem założenia i prowadzenia zakładu sterylizacyjnego. M. kaucją m. zł. Łaskawe oferty upr. pod lit. I. I. 27 poste-restante **Saarbrücken (Saar).**

II-gi urzędnik gospod.

23 lat mający, 7½ roku praktyki, z wykształceniem wyższej teryci, dobrze polecony szuka posady od 1. 10. 97. za **ekonomia** lub jako **pisarz polowy.** Zgłoszenia przyjmuje **Wojciechowski,** Michorzewo.

Ogrodnik

żonaty, bezdzietny, w średnim wieku, mogący okazać się klubnemi świadectwami i rekomendacją swego państwa, obecnie dzierżawiący od roku ogród, pragnie przyjąć miejsce w dominium od 1 października r. b. O łask. **W. S. n.** 1050 poste restante **Swarzędz.**

Wolne posady.

Borowy

żon., w wieku 30 do 40 lat, z dobr. świadectw. potrzebny od 1-go stycznia 1898 do dozoru małego lasu oraz pola na znaczną pensją i deputat.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

BOROWY

żon., w starszym wieku, którzyby zarazem podjąc musiał ukopania 900,000 szt. torfu, potrzebny od 1-go stycznia 1898 r. do hrab polsk. majątku w Księstwie.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu Rycerska ul. 38.

Kikku ekonomów

kaw., potrzebni od zaraz i 1. 10 r. b. na pensją 400—600 marek i wolne utrzymanie.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Siedmiu PISARZY

kawalerów, biegłych w piórze, obeznanych z książkowością potrzeba od 1 października lub zaraz na pensją 300—350 mk.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Gorzelnik

żon. z skromnemi pretensjami potrzebny od zaraz do średniej gorzelni w Księstwie.

Drwęski i Langner
Centralne Biuro Zleceń
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Poszukuje się pani lub panny

już starszej, doświadczonej do wyłączenia pani we większym domu polskim. Stanowisko stałe, zasługi dobre. Zgłoszenia przyjmuje się sub. A. B. w Ekspedycyi. (411)

Zarząd mleczarni w Mgowie

p. Wiewiórki szuka **uczni.**
Zgłaszać uprasza się tamże.

A. Pfitzner
w Poznaniu
Stary Rynek Nr. 6
od roku 1849
Cukiernia
poleca Szanownej Publiczności na porę wiosenną
napój majowy
na świeżej mażance, butelka ¾ litra 80 fen.
Limonady, bowle, soki, karmelki owocowe po 1.20 m. funt.
Tortypomarańczowe, ananasowe.
Spodki kruche do ciast owocowych
tuzin 50 fen. 185

Ekonom

kawaler, **znajdzie posadę** w Królestwie, w wielkich dobach, pod dyspozycją głównego rządzący.

Zgłoszenia i odpisy świadectw uprasza się przesłać pod adresem **Dom. Samostrzel.**

Dom. Grochowiska

per Rogowo potrzebuje zaraz zdanego **pisarza gosp.**
Pensya 300 marek. Zgłoszenia do **Zarządu.**

Potrzebna zaraz do Łodzi BONA

mówiąca dobrze po niemiecku, freblówka, jeżeli nie freblówka to znająca krawiecczynę **A. Koczorowska,** nauczycielka, św. Marcin 68

Od 1. 10. 97. poszukuje się osoby samotnej

w starszym wieku do samodzielnego zarządu na wsi. Warunki: gruntowna znajomość: dobrego gotowania, szycia, prania i prasowania. Zgłoszenia z podaniem życiorysu, kopii świadectw i Swych warunków przyjmuje Ekspedycya „Pracy“ pod lit. S. R. 1897. (415).

Shuka się doskonałego tokarza,

4 maszynowych ślusarzy i 2 maszynistów do prowadzenia parowej młocarni, (muszą to być wyuczeni ślusarze lub (kowale) na stałą pracę i na wysoką płacę.

W. Jurek, fabryka machin w Wągrowcu.